

Krzywicki Teodozjusz

DWA OBRAZY

MIŁOŚĆ SZTUKI OBRAZ Z ŻYCIA ARTYSTY

Niedawno zwiedzałem dom obłąkanych z znajomym mi doktorem,
który z obowiązku
swego to czynił.

Nie prosta ciekawość spowodowała mnie do uczynienia tego kroku;
lecz poszedłem
tam, idąc za popędem serca, w nadziei, że obraz jaki się od rysuje na
tle mej
duszy skutkiem doznanego wrażenia zdołam skreślić wiernie i
przedstawić go potem
oczom innych, w celu przyniesienia ulgi tym isto-

tom odosobnionym od świata, których prócz doktora i zakonników
mających nad
nimi staranie mało kto odwiedza, i dla zwrócenia uwagi tym jednym
przykładem na
sposób leczenia obłąkanych.

Szliśmy długim i wązkim korytarzem; po obydwóch stronach były
cele ponumerowane;
w jednych mniej niebezpieczni waryaci połączeni z sobą, przechadzali
się,
śmiali, lub witali nas poważnie; winnych rozdzieleni i zamknięci,
przez kratę
tylko pokazywali głowy, wykrzywiając się okropnie i wydając
przeraźliwe krzyki,

które aż do głębi przenikały serce.
Przechodząc koło celi Nr. ujrzałem przez kratę człowieka młodego z
ogorzałą
twarzą, wysokiem czołem, które zasłaniały w części w nieładzie
spadające włosy
czarne i długie, wijące się w pierścienie; wyraz twarzy miał szlachetny
i
niepospolity, oczy niebieskie tchnące łagodnością i dobrocią, ale
razem pełne
smutku i melancholii, którą wi-

dać było w całej jego twarzy wychudłej i bardzo bladej. — Ten wzrok
szczególniej
dziwnym mi się wydał, wyrażając łagodność i czułość, przy kościstej
budowie i
ogorzałej twarzy, które zazwyczaj są cechą ludzi silnych namiętności,
żółciowego
temperamentu. — Te oczy niebieskie umieszczone pod czarnymi
rzęsami dziwne
rzucały światło na twarz młodzieńca.
Kiedy zbliżyliśmy się do celi, w której był zamknięty, przez kratę
wyciągnął ku
nam ręce i błagającym głosem wymówił tylko ten jeden wyraz
"skrzypce" i całą
łagodność, boleść i smutek swej duszy skupił na raz wtem wejrzeniu,
które
zwrócił na doktora wymawiając prośbę.
Doktor pociągnął mnie za rękę i szepnął mi do ucha:
— To jest najniebezpieczniejszy waryat, dla którego niemam już rady.
Nie zbliżaj
się zbyt do kraty, bo kilkakrotnie już uniesiony szaleństwem
wyrwał się,
wyłamaw-

szy ją, i byłby może dopuścić się gwałtownego czynu, gdyby go nie
ujęto. — Odtąd
jestem ostrożniejszy i kazałem mu włożyć kaftan. Zresztą jego
szaleństwo
ogranicza się tylko na tem jednym wymaganiu, które słyszałeś przed
chwilą, —
żąda aby mu dano skrzypce.
— Dla czegoż nie uczynicie tego? rzekłem zdziwiony; — któż wie,
może by to
wywarło skuteczny wpływ na jego wyzdrowienie. — Jak w
gorączkach często dobrze
jest zastosować się do instynktu chorego i pozwolić mu na spożycie
takiego
pokarmu, jakiego sam zażąda, tak i w tym przypadku, mniemam, że
najlepiej byłoby
uczynić zadość jego wymaganiu, tem bardziej, że niemogło by być
szkodliwem.
— Przeciwnie, zasadą leczenia obłąkanych iest opór ich woli;
gdybyśmy we
wszystkiem zgadzali się na ich żądania, nieraz niepodobieństwem
byłoby uczynić
im zadość, bojaźń i postrach są najlepszym środkiem w lecze-

niu obłąkanych, często nawet i gwałtowniejszych używać nam
przychodzi. —
Doktorze zmiłuj się! takim sposobem człowieka przy najzdrowszych
zmysłach
wpędzicie w ten stan i musi zwaryować; samym oporem i
przestrachem niszcycie
wszystko, co łagodnością i rozsądnem wypełnieniem wymagań
chorego można by
naprawić. Dla czegoż mu nie chcecie dać skrzypców, kiedy on
rozumnie prosi was o
to? odmówienie dopiero budzi w nim gniew; i ten człowiek, którego
wzrok tchnął
przed chwilą taką łagodnością i słodyczą, teraz ciska błyskawice

najstraszliwszego gniewu.

Rzeczywiście waryat, gdy doktor z obojętnością mijał jego celę, jakby nie słyszał

wymawianej prośby, teraz przyskoczył do kraty i z siłą nadzwyczajną szarpał ją,

aby wyłamać i głosem ochrypłym wołał:

— Skrzypce, dajcie mi skrzypce, potem zabijcie, tylko raz dajcie na chwilę...

niech zagram raz ostatni."

— Doktor pociągnął mnie za sobą, i z daleka jeszcze słyszałem głos ten ciągle też

same powtarzający słowa, już to łagodnie jak modlitwę błagalną, już znowu dziko

jak przekleństwo wściekłe, aż nareszcie ochrypł zupełnie, i oddalony nie

słyszałem go więcej.

Więzień ten niezmiernie mnie zajął i wzruszył. Niemogąc skłonić doktora, aby

uczyniono zadość jego żądaniu, starałem się zbadać przynajmniej przyczynę jego

szaleństwa i okoliczności dotyczące się zamknięcia w szpitalu. Doktor z podziwieniem spojrział na mnie, jakby mniemając, że powietrze zatrute oddechem

nieszczęśliwych zatykając mi piersi, na chwilę przewróciło porządek moich

wyobrażeń, iż mu takie pytanie zadałem.

— My nic o tem nie wiemy, rzekł mi, to do nas nienależy wcale; lecz dowiedzieć

się o tem możesz od ojca Benedykta, który utrzymuje księgę czarną; w niej

zapisane wszystkie szczegóły dotyczące każdego z mieszkańców tutejszego

szpitala. Udaj się do nie-

go zemną, a może zaspokoisz choć w części twoją ciekawość.
Weszliśmy do celi Zakonnika, którego pobożnie słowy: "Niech będzie
pochwalony
Jezus Chrystus!" powitałem. Spojrzał na mnie uprzejmie, i
odpowiedziawszy "na
wieki wieków" prosił siedzieć, podając mi wyplatane trzcina
krzeselko, które
wraz z łóżkiem, stolikiem i szafką zapełnioną książkami stanowiło
wszystkie jego
sprzęty. Sam usiadł na łóżku; doktor uczynił toż samo.
Z ciekawością i wzruszeniem szukałem oczyma tej księgi
nieszczęścia. którą
właściwie czarną księgą doktor nazwał, z niej to miałem dowiedzieć
się o
szczegółach tyjących się waryata zamkniętego w celi pod Nr.
Mój towarzysz opowiedziawszy mu cel naszego przybycia, i
przedstawiwszy mnie,
prosił o objaśnienie, które mieć chciałem.
Ojciec Benedykt otworzył księgę i rach-

jąc w myśli karty natrafił na Numer , pod którym zapisane było.
"Juliusz R... przybył do szpitala dnia Marca roku. Przysłany przez
Władzę
policyjną z ostrzeżeniem, aby pilną baczność dawano na jego
postępki, i z
wszelką z nim się obchodzono ostrożnością; a mianowicie, żeby był
oddzielony,
gdyż jest niebezpiecznym waryatem."
— Tylko tyle, rzekł ojciec Benedykt zamykając książkę, Kommissarz
Policji
przysłał mi go związanego pod dobrą strażą; z początku okazywał
szaleństwo
prawdziwe, i rzucał się na otaczających go, lecz teraz jest znacznie
spokojniejszy; chociaż pan doktor "mówi, że to jest nie wyleczony
waryat. Jego

obłąkanie objawia się tylko wtem jednym codziennym żądaniu, aby mu podano skrzypce, coś pan przechodząc bez wątpienia słyszał. Ma to być muzykant, który posądzany jest o jakieś czary i o zabójstwo żony. Pierwszemu niewierze wcale, bo religja

nasza uczy nas, że nic się niedzieje bez woli Boga, jednakże strzeż się Pan, i nie staraj zbliżać do niego, bo ja panu mówię, że mógłbyś popaść w jakie nieszczęście..

Tem mocniej opowiadanie to zaostrzyło moją ciekawość, i starałem się koniecznie znaleźć sposób zbliżenia się do waryata i do pomówienia z nim na osobności. Mój przyjaciel ułatwił mi to; bo w kilka dni potem sam przyszedł do mnie mówiąc, że pacjent jego . jest spokojniejszy, nierobi już żadnych szaleństw, a nawet okazuje wielką chęć zawiązania przyjaznych stosunków z zanoszącym mu żywność sługą, z którym po kilkakrotnie zaczynał rozmowę. Ucieszony tem prosiłem go, aby mnie zaprowadził do celi waryata, pewny, że znajdę sposób wydobycia z niego tej tajemnicy, która mnie tyle obchodziła. Doktor przystał na to pod warunkiem, że mu w chwili widzenia się włożą kaftan, aby mnie uchronić od wypadku, gdyby wró-

ciło szaleństwo, lub że przez kratę z nim rozmawiać będę. Nie przystałem ani na

jedno ani na drugie, i pomimo namowy doktora wszedłem do celi waryata, który jednakże był przywiązany tak, że się zbliżyć do mnie niemógł. Przyszedłem do niego i podałem mu rękę. Był spokojny, lecz smutniejszy niż gdy go pierwszą razą widziałem. Uścisnął dłoń mą z uczuciem i rzekł: Ty nie jesteś doktorem! Ach, oni się tu zemną bardzo źle obchodzą. Po chwili dodał: Z kąd przychodzisz; czy nie wiesz co się dzieje tam za kratą? I pokazał ręką na okute żelazem okna, które wychodziły na podwórze. — Czyś zostawił tam kogo? Spytałem go pragnąc zawiązać rozmowę... powiedz, a dowiem się, i przyjdę tu powiedzieć ci o losie tych, którzy cię obchodzą. — Więc ty mnie nie uważasz za waryata jak inni, którzy mi to powtarzają co

chwile, więc ty wierzysz że jestem przy zdrowych zmysłach? Nie wiedziałem co odpowiedzieć na to. Spostrzegł moje powątpiewanie i chcąc zniszczyć je rzekł do mnie: — Słuchaj, daj mi skrzypce, a dowiodę ci, że nie jestem waryatem! W tej chwili jeden z posługujących przechodził koło kraty, i usłyszawszy ostatnie słowa śmiejąc się szyderczo rzekł: — O tóż zwyczajna piosnka! Nieszczęśliwy spojrział ponuro w tę stronę, i twarz jego przybrała wyraz groźny, a gniew malował się w oczach. Ale bojąc się zapewne abym go za prawdziwego nie wziął waryata złagodził spojrzenie i rzekł do mnie z goryczą. — Szydzą!... o tu można na prawdę, oszaleć. I dwie łzy z toczyły się po jego bladych licach a wyraz nieokreślonej boleści pozostał

na twarzy. Smutno mi się zrobiło na sercu, odwróciłem się aby ukryć
łzy, które i
mnie także mimowoli zakręciły się w oczach. Spostrzegł moje
wzruszenie, i głosem
przenikającym do głębi duszy rzekł do mnie.
— Kto-ty jesteś, powiedz; czy wiesz co to jest miłość sztuki, czy
zdołasz pojąć
mnie, czy zrozumiesz moją boleść jeżeli ci otworzę serce'? — Miłość
sztuki!
rzekłem... o, ja znam inną miłość, tak świętą jak miłość sztuki... ja
jestem...
jestem... poetą... nieznany... obcy... niepojęty, czekam szyderstwa, i
walczę
przeciw nienawiści świata, bo gardzę jego poklaskami.
— Więc ty mnie pojdziesz, ty mnie zrozumiesz, rzekł on; malarz,
poeta, muzyk, to
bracia jednej matki, wypiastowani pod wpływem jednych i tych
samyh wrażeń, ich
dusze w jednym niebie natchnienia wspólny chrzest wzięły i
przysięgły sobie
braterstwo... więc słuchaj, słuchaj, ty mnie zrozumiesz, ty jeden tylko.
Ale nie
powtarzaj

Jego, co usłyszysz przed światem, bo wyszydzą i mnie i ciebie.
Słuchaj, abyś się
uczył cenić poklaski podłego tłumu, który cię otacza; abyś przestał
rozdzierając
własne łono karmić ich, jak pelikan krwią swoją zgłodniałe pisklęta,
bo oni
tylko szyderstwem i przekleństwem odpłacą ci za to.
Czekałem aż się uspokoi gniew jego, i ja byłem wzruszony tą
przepowiednią, jaką

mi zrobił; lecz gotów stanąć do walki przeciw nienawiści i
szyderstwu, za
szyderstwo płacąc miłością, za nienawiść poświęceniem.
Usiadłem przy nim na łożu zapominając wcale, że się znajduję w celi
waryata, bo
on mówił do mnie głosem rozumu, a słowa jego spłynęły mi do serca,
jak spływa
łza sieroty w suchy piasek grobu na mogile matki uroniona.
Po chwili zaczął następujące opowiadanie:
W roku straciwszy rodziców, którzy mi pozostawili znaczny i
niezależny
majątek, przybyłem na mieszkanie do Warsza-

wy, gdzie łatwiej mogłem się oddać nauce, którą od najmłodszych lat
zamiłowałem.
Unikając wszelkich znajomości, wynająłem dwa pokoiki w podwórzu
jednego z domów
przy ulicy Nowy Świat, których okna wychodziły na maleńki ślicznie
utrzymywany
ogródek, zasadzony kwiatami i kilką drzewkami akacyi.
Nademną mieszkał ubogi skrzypek z córką swoją Maryą, piękną i
młodą, która jak
kwiat wiosenny kwitła pomiędzy trawkami swego ogródka, za ledwie
na świat.
wychylając się. Ojciec Maryi utrzymywał się, ucząc muzyki i grając
za nędzną
zapłatę w miejscach publicznych, gdzie nie umiano ocenić jego
znakomitego
talentu.
Obok mieszkał młody poeta, na dole zaś stolarz sprzedający trumny.
Innych sąsiadów zajmujących frontowe mieszkania nie znałem
wcale, i tych, o
których wspomniałem, tylko z daleka ukłonem

lub zwyczajnem witałem pozdrowieniem. Zwykle dzień cały
spędzałem nad nauką i
pracą, rzadko kiedy wychodząc na miasto, bo mało miałem w
Warszawie znajomych, a
żadnego krewnego, w Wieczór dopiero spoczywając po trudach
całodziennych,
siadałem w oknie zapalając fajkę i otoczony wonnym dymu obłokiem,
patrzałem jak
moja piękna sąsiadka polewała świeżą wodą kwiaty własną zasadzone
dłonią, potem
siadała z książką na ławeczce czytając. Alem uważał zawsze, że
częściej
zamyślona spoglądała w okno mego sąsiada z przeciwka; lecz na
nieszczęście młody
poeta dnie całe i wieczory spędzał nad pisaniem jakichciś notatek,
które potem
palił, albo darł i rzucał w kąt izby.
Pewnego razu trafem czy umyślnie wyrzucony papierek upadł z okna
pod nogi Maryi;
dziewica porwała go z pośpiechem i odczytywała z uwagą skreślone
ręką młodzieńca
słowa. Z daleka dojrzałem że

to były wiersze, lecz czy dla Maryi, czy dla kogo innego
przeznaczone, tego nie
mogłem odgadnąć; uważałem tylko, że Gustaw (tak się nazywał mój
sąsiad) nie
zwrócił wcale uwagi czy Marya podniosła i odczytała upuszczoną
kartkę, gdyż
zaraz odszedł od okna i usiadł przy stoliku zajęty pisaniem.
Marya spostrzegłszy, że uważam na nią, zwinęła papier w ręce i
pobiegła na górę,
gdzie jej ojciec całe godziny spędzał grając na skrzypcach. Był on w
samej sile
wieku, nie miał jak lat . Marya skończyła zaledwie szesnasty.

Niewiem z jakich powodów więcej teraz niż dawniej polubiłem
muzykę. Przed kilka
laty zacząłem się uczyć na skrzypcach, lecz zarzuciłem je wcale.
Nagle czy
uroczony cudowną prawie grą ojca Maryi, czy wiedziony popędem
serca szukającego
ulgi i słodkiej pociechy w samotności, jaką właśnie muzyki powab
rozlewa, udałem
się wprost do muzykanta, prosząc go,

aby mnie uczył grać na skrzypcach znowu, i znaczną mu za to
ofiarując zapłatę.
Marya gdy mnie ujrzała zarumieniła się i spuściła w dół oczy.
Zdawało jej się,
żem podsłuchiwał kiedyś jej myśli na dnie duszy tajone, i teraz dla tego
tylko jej
ojcu zrobiłem podobne oświadczenie, aby mieć sposobność zbliżenia
się do niej.
Ojciec Maryi z chęcią przystał na uczynione mu przedstawienie, i od
dnia tego
miałem już wolny w każdej prawie dnia godzinie wstęp do jego
pomieszkania, i
sposobność poznać bliżej Maryą i jej charakter; odgadłem wnet
uczucia dziewicy i
przejrzałem aż do dna jej duszy.
Wcześniej utraciwszy matkę, Marya zostawiona samej sobie i
niekierowana radami
troskliwej rodzicielki, sama, jak kwiat bez podpory chwiejący się w tę
i ową
stronę za lada powiewem wiatru została na świecie. Ojciec niemógł jej
dać
takiego wychowania moralnego, jakieby dała ma-

tką, gdyby żyła, ona zaszczepiła w sercu córki pierwsze zasady moralności i cnoty; lecz Marya dzieckiem jeszcze była wtedy, gdy ją utraciła, a teraz w własnym tylko sercu znajdowała siłę do postępowania dalej tą samą drogą i w nim czerpała wszystkie natchnienia swoje. Ojciec kochał ją bardzo, lecz nie ją jedną tylko, kochał sztukę, i więcej może od Maryi. Dziewica przywykła patrzeć na wszystko oczyma ojca swego, ceniła ją także, i w ojcu nietylko kochała dawcę dni swoich ale wielkiego muzyka. W samotności i odosobnieniu szukając pokarmu dla myśli i duszy Marya natrafiła książki, które lubo nie zatarły w jej sercu szlachetnych uczuć zaszczepionych od dawna, jednakże przebudziły w niej nowe wyobrażenia i domysły; a Marya znając świat tylko z książek, ubrany w fantastyczne jakieś barwy, z książek nauczyła się kochać go, czuć i myśleć,

a ze wszystkich wrażeń najsilniejsze na niej robiła poezja i muzyka. Dziewica rozkochana w tych cudnych ideałach, jakie natrafić można w książkach, nauczyła się cenić poetę jak bożyszczę jakie, i sercem już tęskniąc do tej miłości, która się w niej miała niezadługo przebudzić, powiedziała sobie "jeżeli zrobię wybór kiedy, to nikt inny niepozyska mojej miłości tylko muzyk albo poeta!" Wtenczas dopiero odgadłem, dla czego Marya z tak rzewną czułością odczytywała

upuszczone jej przez Gustawa wiersze... On był poetą, był więc jej
ideałem, jej
wymarzonym kochankiem. A przecież nie kochała go jeszcze, tylko
przygotowywała
serce do tej miłości, bo już kochała owoc myśli, jego natchnienia
dziecie...
Radość wstąpiła w serce moje, sam jeszcze niewiedziałem wtenczas
dla czego,
później dopiero odkryłem przyczynę. Miłość dla Maryi już się
przebudziła w sercu

mojem; nie dla tegoż tak pilnie starałem się zbadać jej charakter, jeżeli
nie w
zamiarze, abym odkrywszy słabą jej serca stronę, ztąd mógł uderzyć i
wzajemnej
dopukać się w niem miłości. Odgadłem jakie były pragnienia
dziewicy, muzyk albo
poeta, wielki tylko i nieśmiertelny miał zostać kochankiem Maryi.
Odtąd pokochałem, sztukę przez miłość dla Maryi, bo ona miała być
mi pomocą do
pozyskania jej serca. Z zapałem oddałem się muzyce i całe dnie
przepędzałem z
skrzypcami w ręku, przełamując Wszystkie trudności, jakie w
początkach
częstokroć zniechęcają uczącego się. Uśmiech Maryi, słowo pochwały
wyrzeczone
przez nią, albo łza skrycie spływająca z oka na dźwięk muzyki, gdym
w wieczór
przychodził do jej pokoiku grał jej, a nade wszystko ta uroczysta
cisza, z jaką
słuchała mego grania, były dla mnie dostateczną nagrodą wszelkich
trudów.

Niedługo przewyższyłem mego nauczyciela i gra moja zyskiwała mi
poklask

znajomych i sąsiadów, którzy nieraz w nocy zgromadzali się pod
oknem mego

pomieszkania, słuchając jak za pociągnięciem smyczka po stronach
budziłem w

skrzypcach tysiączne dźwięki, spływające na dusze słuchaczy i
budzące w nich

silne wzruszenie.

Od pewnego czasu uważałem ponury smutek wkradający się w duszę
mego nauczyciela.

Stary skrzypek z niechęcią począł mnie przyjmować w swym domu,
sam przestał

grać, i pewnego dnia oświadczył że dłużej mnie uczyć niechce.

— Umiesz już tyle co ja, rzekł do mnie, więcej nauczyć cię niemogę,
nieszukaj

innych nauczycieli, nauka tobie niepotrzebna, sercem pojąłeś muzykę,
ono cię

wykształciło i dalej kształcie będzie. Biada temu, kto uważa sztukę jak
rzemiosło

biada mnie com cię uczył, biada, kto chce być muzykiem lub poetą dla
sławy

tylko, albo niedostawszy z nieba świętego namaszczenia; ten tylko
stanie się

wielki, kto ją pojmuje, duszą i czuje sercem.

Te słowa wymówił z goryczą i spojrzał na mnie jakimś niezwykłym
wzrokiem. W tej

chwili trzymał skrzypce w ręku, i gdy dokończył słów ostatnich, tak
silnie

pociągnął smyczkiem po strunach, że wszystkie naraz pękły wydając
jeden

pomięszany akord boleści i rozpaczy, jak gdyby uczucia jego odbiły
się w tym

instrumencie który ożywiał nieraz grą swoją.

Zadrzałem, silne wzruszenie ogarnęło duszę skrzypka, i jakby zapominając o mojej obecności sam do siebie następujące przerywane jękiem wymówił słowa:

— Tak, cóż mi teraz po tych skrzypcach, nie będę grał więcej; dotąd uważałem się za wielkiego artystę, za mistrza muzyki, jestem tylko nędznym grajkiem;...

sztuka nie jest rzemiosłem, sztuka, potrzebuje duszy; a ja,... ja nic nie umiem... O przeklęty! aż do tej pory łudziłem się sławą... cóż mi po tych poklaskach, któremi mnie tłum nagradza; tłum nieczuje, tłum niema serca... O

gdybym był młody, gdybym miał te siły, ten zapał co dawniej i ten ogień w piersiach jak przed tem, umiałbym z posągów, z kamieni wywoływać życie; a dziś

po cóż grać, chyba żeby uspić słuchaczy lub żeby wyszydzeni i wytykali palcem, że jeden młokos, uczeń mój przewyższył mnie, i od razu stanął tam gdzie ja nigdy niedojdę... ale biada mu, nikczemnik okradł mnie, wyrwał mi z duszy

tg tajemnicę., którą odgadłem, tę wielką świętą tajemnicę, sztuki;... rzucił urok

na mnie, albo jego skrzypce muszą być zaczarowane. Niepodobna aby ten człowiek

zimny na pozór i niemający czucia tak głęboko przeniknął piękność muzyki; chyba że duszę swoją zamknął

w tych skrzypcach... zniszczę je, zniszczę, chociaż mnie potępienie czekać ma za

to.

Słowa te wymawiał szybkim krokiem przechodząc się po izdebce, już to cichym stłumionym głosem, że go zaledwie można było dosłyszyć, już też głośno z gniewem i uniesieniem, szarpiąc włosy, które dotąd zupełnie czarne, nagle od niedawnego bardzo czasu siwieć poczęły. Ale wkrótce uspokoił się, a zbliżając się do miejsca, w którym siedziałem, spostrzegłszy mnie ujął za rękę, i smutnym lecz łagodnym głosem rzekł do mnie: Słyszałeś mnie Juliuszu, przebacz mi, przebacz wszystko; sam niewiem co mówiłem, ale tak straszne miewam chwile, taka mnie często boleść i rozpacz ogarnie, że niemogę się oprzeć jej; w tedy słowa bez związku płyną z ust moich; ale wierz mi, one nie pochodzą z serca, tylko umysł jest chory, tylko tu, głowa boli, a ja się wstrzymać niemogę.

To mówiąc położył rękę na czoło, jakby chciał uporządkować myśli, czy stłumić boleść. Nic mu nie odpowiedziałem na te słowa, tylko ścisnąłem dłoń jego, którą mu po chwili podał, jakby na pojednanie. Zrozumiałem jego mowę, jego żal i boleść, to nie była zawiść lecz tylko miłość sztuki. Mimowoli wzrok mój skierował się na porzucone skrzypce, które gdy pozrywał w niob struny przypadkiem czy umyślnie upuścił na podłogę. Spostrzegł to, i mocny rumieniec okrył wychudłe i trupiej bladości lica jego; zawstydził się tego postępuku i śpiesznie podjął je, a podnosząc przycisnął usta

całując zimne drewno instrumentu, jak ciało umarłego dziecięcia, i łzy
dwie,
których nie ukrywał powoli na twarz spłynęły. Zawiesił potem
skrzypce na ścianie
po nad łóżem swoim, i wydobywszy z jakiegoś pudełka kawałek
czarnej krepy okrył
je.

— Ta krepa, rzekł do mnie, okrywała niegdyś trumnę mojej
nieboszczki żony,
dzisiaj zwłoki mego dziecięcia.
Czoło jego zasepiło się, i pogrążony w głębokim zamyśleniu usiadł
na przeciw
mnie i milczał znowu.
Nie śmiałem przerwać tej uroczystej ciszy i oddech prawie
zatrzymałem w
piersiach. Od godziny znajdując się w pomieszkaniu Maryi jeszcze nie
zapytałem
się o nią, i pierwszy raz dopiero spostrzegłszy jej nieobecność i moje
zapomnienie zdziwiłem się tej zmianie w moich uczuciach, jaka od
niedawnego
nastąpiła czasu. Dotąd kochałem sztukę przez miłość dla Maryi, teraz
zamiłowanie
moje w muzyce przeszło w zapał, w fanatyzm prawie, kochałem ją
równie może z
Maryą. O biada mi, że ją potem więcej od Maryi ukochałem, fanatyzm
w sztuce jak
we wszystkim jest zgubą.
Widząc że skrzypek nieprzebudził się

jeszcze z zamyślenia, chcąc go wyrwać z tego przykrego stanu, gdy
wszystkie

myśli skierowane są do jednego i to smutnego przedmiotu zapytałem go o córkę.

— Prawda, rzekł podnosząc oczy, jakby kończąc myśl dawno przerwana, mam jeszcze jedno dziecko, o niem myśleć, dla niego żyć powinienem.

Po chwili odpowiadając na moje zapytanie dodał:

— Marya jest w ogródku, czy nie uważałeś tego przechodząc tamtedy? Podlewa

kwiaty; to jest jej ulubione zajęcie, kwiaty, poezya i muzyka, to są trzy

najpierwsze żywioły jej duszy.

Zarumieniłem się, niewiedząc co odpowiedzieć na to, bo rzeczywiście przechodziłem koło ogródka, i nie zważałem czy się tam Marya znajduje.

Tak śpiesznie biegłem do izdebki muzyka, aby mu objawić nowo przezemnie zrobione

odkrycie w sztuce, i pokazać tylko co na-

desłane mi, przez przyjaciela skrzypce, które do Paganiniego należeć miały, że

zupełnie zapomniałem o ogródku, o kwiatach i o Maryi. Teraz chcąc nagrodzić to

moje zapomnienie, powstałem ażeby zejść na dół i pomódz jej w pracy.

Na dole spotkałem Maryę zamyśloną i smutniejszą niż zwykle, zapytałem jej o

przyczynę smutku. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła z sobą do ogrodu. Usiadła

na ławeczce z darni i kazała mi usiąść przy sobie.

Było wieczór majowy, słońce tylko co zaszło, jeszcze nie zupełnie ściemniło

się, a na niebie pod nadnami świeciły z daleka dwie gwiazdki, dwie tylko, które

dojrzeć można było, a ich światło niepewne i mglejące nikło w ostatnim dnia

konającego blasku.

Marya długo milcząc patrzyła na te gwiazdy, a jej ręka niewypuściła
jeszcze
mojej jakby przez zapomnienie. Niepojęte,

nieznane dotąd wzruszenie ogarnęło mnie, i dłoń moja zadrżała w jej
dłoni, a
serce biło tak gwałtownie, jakby chciało z piersi wyskoczyć. Czułem
jej
tchnienie -przepływające po moich włosach, a oddech Maryi palił
mnie i rozlewał
na duszę jakiś urok boski.

Ona mi ręką pokazała te dwie gwiazdki błyszczące nad nami, jedna z
nich bledsza,
gasnąca prawie, druga jaśniejsza i co raz żywszem promieniejąca
światłem.

— To są gwiazdy naszego przeznaczenia, rzekła do mnie Marya, patrz
jak twoja
cudnie i jak jasno świeci.

I oboje zamyśliśmy się patrząc na te gwiazdy, a każde z nas goniło
za tą,
którą wybrało sobie jako gwiazdę przewodnią, strażniczą. Lecz
niedługo pośród
występujących co chwila nowych gwiazd znikły i te, jak dwie krople
wody w
głębokościach morza, i ciemność otoczyła nas w około, a dwie
gwiazdki, w których

czytaliśmy przeznaczenia nasze znikły pośród światła miliona.
W tej chwili Gustaw zbliżył się do okna, i dźwięcznym męzkim
głosem, pełnym
rzewnej tęsknoty, arją grobową z Łucyi, kończącą się temi słowy:

Rozłączonych tu na wieki,

Złączyć zdoła tamten świat.

Maryja zadrzała na tę nutę i słowa pieśni tak zgodne w tej chwili z jej myślami.

— Juliuszu! rzekła do mnie (a pierwszy to raz nazwała mnie po imieniu), pójdźmy

już, pójdźmy, niemogę zostać tu dłużej, niewiesz jak silnie wzrusza mnie nuta tej pieśni.

Przypomniałem sobie, że przed kilkoma dniami całą noc prawie grałem utworzoną przezemnie fantazyę na podobne temata. Nazajutrz po dniu owym gdy spotkał się z

Maryją, bardziej niż zwykle wzruszona ze łzami w oczach rzekła do mnie.

— Ach! panie, dziś całą duszą byłem w niebie; na dźwięk twojej muzyki zdaje mi

się, że się traci wszystko, co w nas jest ziemskie, to jest głos aniołów mówiących do nas słowami pociechy i nadziei. I tegoż samego dnia jeszcze prosiła

mnie, abym grał jej znowu tę samą fantazyę.

Uczyliem zadość jej chęci. Gdy pociągnąłem smyczkiem po strunach, mocne

wzruszenie ogarnęło duszę Maryi, mogłem to uważać jeszcze, bo patrzył na nią; w

jaki sposób później objawiło się, tego niewiem, gdyż zajęty grą całą duszę

wcieliłem w te dźwięki wydobywające się z strun, i raz unosiłem się myślą w

niebo, znowu w gronie aniołów, sylfów i nadpowietrznych istot bujając

zapomniałem o ziemi, o świecie, o Maryi.

Toż samo ona, jak mi to wyznała później, zapomniała wcale o mojej obecności,

słyszała tylko muzykę, widziała ją, że tak powiem, a dusze nasze z
łączyły

się w jednym niebie marzenia, uroczone boską muzyki potęgą.
Zrozumiałem słowa Maryi wyrzeczone do mnie tego wieczora, śpiew
Gustawa

przebudził w jej sercu wrażenie przed kilku dniami doznane, i
wspomnienie tego

dnia, wspomnienie ważne na całe jej życie wzajemnego wyznania
miłości naszej.

Przecież nigdy ani jednym nieodkryliśmy jej słowem; ona odgadła ją
w grze mojej,

bo natchniony miłością dla Maryi całe czucie moje wlałem w tę grę, ja
zaś w jej

wzruszeniu i w łzach płynących po twarzy, których nieukrywała
przedemną.

Oto była rozmowa serc naszych, pierwsza rozmowa kochanków,
jedyne wyznanie
miłości.

Zaprowadziłem Maryą na górę do jej pomieszkania, jeszcze była
wzruszoną tą

pieśnią, którą śpiewał Gustaw. Weszliśmy po cichu otwierając drzwi,
mniema-

jąc, że ojciec Maryi już się udał na spoczynek.

Księżyc świecił rzucając jaskrawe światło wgląd izdebki i na twarz
jego srebrne

swoje promienie.

Muzyk klęczał przed łóżem, nad którym zawieszono były skrzypce i
krzyż z

wizerunkiem Chrystusa; modlił się gorąco, z duszy do Boga, tak że
nawet nie

spostrzegł naszego przybycia.

Z słów półgłosem wymawianych zrozumiałem, iż błagał Boga aby mu
udzielił sił do
oparcia się tej rozpacz, jaka nim owładła, gdy poznał niższość swoją
w sztuce,
którą zamięłował tyle, która wszyskciem była dla niego. Modlił się jak
ojciec na
grobie dziecięcia proszący o przebaczenie za zabicie tegoż, bo w
przekonaniu
jego zniszczenie instrumentu, który go żywił i udzielał sposobów do
utrzymywania
siebie i córki było zbrodnią nieodpuszczalną przez Boga; zapalony wiel-

biciel sztuki, zamięłowanie w niej zmienił prawie w fanatyzm, w jakąś
cześć
religijną. Modlił się jeszcze, aby mógł znaleźć inne sposoby
utrzymania życia i
zapracowania na chleb, bo mniemał zabójstwem sztuki bluźnierczą
ręką dotykać
instrumentu, na którym po mistrzowsku grać nie mógł, gdyż czuł
swoją niższość i
przysiągł nigdy więcej nie dotknąć się skrzypców.
Marya tak była zamyślona, że prawie niesłyszała słów modlącego się
ojca.
Odprowadziwszy ją wróciłem do siebie. Całą noc nie mogłem
zmrużyć oka, i tysiące
obrazów przedstawiało mi się, raz kołysząc w słodkich, marzeniach
szczęścia
wielkości, sławy; znowu żalobną zasłoną pokrywając wszystko.
Nad ranem dopiero zdołałem zasnąć, we śnie pozostałe z dnia
wrażenia odbiły się
w zupełności. Zdawało mi się, że widzę przed sobą stojące dwie
dziewice, jedna z
nich ubrana w białą muślinową sukienkę,

z niebieską przepaską, w wieńcu kwiatów na skroni i w ślubnym
welonie, podawała
mi gałązkę mirtu.
Druga ubrana w kwiaty, miała na głowie koronę z gwiazd jaśniejącą
tysiącem
świetnych promieni, trzymała w ręku cyprysu i lauru gałązkę, i
wieniec z cierni
kładła na moją głowę; jak gdyby te godła żałoby, cierpienia i chwały
połączone z
sobą miały być wyobrażeniem całego życia mego.
Dwie te postacie wyciągnęły ku mnie ręce, a ja wahałem się, którą z
nich
wybrać. Pierwsza odsłoniła mi lica, i poznałem twarz Maryi pogodną i
uśmiechającą się, z wyrazem łagodności, dobroci i słodyczy na czole.
Jej
spojrzenie pełne miłości zwrócone było na mnie, jak gdyby z
wymówką, że tak
długo wacham się poświęcić sławę artysty i marzenia wielkości dla
niej. Podałem
jej rękę, a jakiś niepojęty urok rozlał się w mej duszy

i ogień po sercu płomieniem płynął. Jasny obłok nas otoczył, a my jak
dwa anioły
bujaliśmy wolnymi skrzydłami po niezmierzonej przestrzeni, i czułem
dłoń jej w
dłoni, i jej serca przyśpieszone bicie, i słyszałem jej słowa pełne
miłości, i
ciche westchnienia jej piersi, co jak boska harmonia muzyki aniołów
grały w mej
duszy. Powoli zacząłem tracić czucie, myśl, pamięć, ziemia znikwała...
już coraz
mniejsza,... coraz bardziej oddalona; tylko dwie gwiazdki świeciły po
nad nami
równem jaśniejące światłem, owe to gwiazdki, które świeciły w dniu
pierwszego

wyznania naszej wzajemnej miłości, a ja wpatrzyłem się oczyma w te
dwie gwiazdy
świejące nad nami; jedna coraz żywsze przybierała światło, druga
poczęła
blednąć, gasnąć, aż wkrótce znikła zupełnie w obłokach, a na
widnokregu jaśniała
tylko jedna już gwiazdka mego przeznaczenia.
Smutek przeszył mi serce, gdym już

drugiej gwiazdy nie mógł dojrzeć oczyma, i chciałem osłonić Maryę
memi
skrzydłami (bo mi się śniło, żeśmy jak aniołowie mieli skrzydła) ale
ona poczęła
słabnąć, i już nie mogąc dalej odbywać zemną tej nadpowietrznej
podróży, puściła
dłoń moją i ze zwichniętymi skrzydłami poczęła zniżać się ku ziemi
jak spadająca
z nieba gwiazda.
Ciemność mnie otoczyła, i nic nie widziałem już przed sobą, tylko
gwiazdę
nademną jasną i promienistą, tylko jak ziarnko piasku maleńki świat
pod nogami
memi, a jakaś niewidoma siła ciągnęła mnie na dół nie pozwalając mi
wznieść się
wyżej, i jak pajak w własną sieć złapany zawisłem w błękicie.
Wtem jakaś postać skrzydlata przeleciała koło mnie, poznałem że to
była też
sama, która mi podawała wieniec z lauru i cierniową gałązkę;
wyciągnąłem ku niej
ręce, a ona silnemi skrzydłami prując po-

wietrze, zaczęła się coraz zemną unosić w górę, aż stanęliśmy na owej
gwiazdzie,

która tak jasno zdaleka świeciła nademną. Zbliżka poczęła tracić
jaskrawe
światło i dopiero za zbliżeniem się do niej, przejęty smutkiem i żalem
z takiego
zawodu, ujrzałem nisko, podemną świecącą taką same gwiazdę, a na
niej pośród
cudnych tej gwiazdy promieni spostrzegłem postać Maryi
wyciągającą ku mnie ręce.
Wydałem jęk bolesny, widząc jak wielka przestrzeń rozdziela mnie z
Maryą, i
zawołałem na towarzyszkę mej podróży: "wróćmy!" Lecz ona już
wypuściła dłoń mą z
swej dłoni, i teraz stojąc przedemną podniosła zasłonę z twarzy, która
aż dotąd
ciągle zakrytą była, a ja przerażony ujrzałem przed sobą twarz upiora,
— trupa,
widmo grobowe, i usłyszałem głos jej wymawiający to straszliwe
słowo:
"zapóźno!"...
W tem mocne stukanie do drzwi przebudziło mnie i przerwało mój
sen tak pełen

wróżb i bolesnych przepowiedni, w którym się odbiły wszystkie
wrażenia na dniu
doznane, i wszystkie uczucia miotające mną, z których najsilniejszymi
były:
miłość Maryi, i miłość sztuki połączona z żądzą sławy.
Zerwałem się z posłania zimnym potem oblany, jakby strudzony
walką z olbrzymem.
Przezedrzwi posłyszałem głos Maryi przerywany płaczem i błagający.
— Otwórz, wołała na mnie, otwórz Juliuszu na miłość Boga, mój
ojciec jest bardzo
słaby i potrzebuje prędkiego ratunku!
Ubrałem się spiesźnie, i otworzywszy drzwi, przy nie pewnym blasku
rozświtającego poranka, zobaczyłem Maryą bladą i zalaną łzami,
stojącą w sieni.

Miała na sobie zarzucone nocne ubranie, włosy jej rozwiązane, w długich warkoczach spadały na szyję osłaniając ją, piersi od mocnego wzruszenia wznosiły się pod lekkim białej sukienki zapięciem; za ledwie

powtórzyć mi zdołała słowa błagalne tak drżała i tak była pomieszana nagłą słabością ojca.

Pobiegłem na górę, i nim jeszcze Marya wejść zdołała za mną, już się znajdowałem

przy łożu jej ojca. Leżał jakby bez życia, nieporuszony, zjedną ręką podniesioną

ku górze, jak gdyby chciał zdjąć skrzypce na ścianie ponad łożem jego wiszące,

ręka ta nieopadła, a gdy ją zwolna nagiąłem pozostała bezwładną.

Jednym słowem,

była to śmierć z wszelkimi oznakami życia, bo i twarz zwykle bardzo blada teraz

lekko się zarumieniła.

Spieszniej jeszcze niż wszedłem na górę, zbiegłem do siebie

potrącając Maryę,

która właśnie wchodziła we drzwi, i porwawszy kapelusz,

zapominając nawet

zamknąć drzwi za sobą, wybiegłem na miasto szukać doktora.

Po półgodzinnem szukaniu za ledwie zdołałem go znaleźć i

natychmiast zaprowa-

dziłem z sobą. Żadna zmiana niezaszła w położeniu chorego, leżał nieporuszony,

Maryja klęczała przy łożu ojca i płakała głośno.

— Czy jest jakiś ratunek doktorze? zawołała gdyśmy weszli.

Doktor nic nie odpowiedział, zbliżył się do łóżka, i mniemając że to była

apopleksya, odwinął rękaw koszuli chorego, i rozkazując mi trzymać blisko świecę
zapustcił lancet w ciało. Za trzecim dopiero uderzeniem krew
kroplami sączyć się
poczęła, lecz za ledwie kilkanaście kropel wypłynęło, zatamowała się
znowu, i
daremne było czwarte zapuszczenie lancetu.
Wtenczas doktor kazał sobie podać szczotkę i począł nią silnie
nacierać ciało
jego.
Marya w niemej boleści, tłumiąc płacz i łkania spoglądała na daremne
wysilenia
sztuki lekarskiej.
Doktor pomyślał chwilę i zapytał mnie,

jakie mogły być przyczyny tego stanu, w którym się muzyk
znajdował.
Opowiedziałem mu w krótkości wszystkie szczegóły, które według
mego mniemania
mogły się do tego przyczynić, niepomijając ostatniej z nim rozmowy,
która
niezawodnie najważniejszy wpływ wywarła. Gdy rozmawiałem z
doktorem Marya
oddaliła się od nas kilka kroków i nie słyszała nas pewnie; gdyż
umyślnie mówiłem
cicho, bojąc się rzucić w duszę Marji zaród podejrzenia, że ja stałem
się
przyczyną tego nieszczęścia, a może śmierci jej ojca, co by mogło
zniszczyć jej
miłość dla mnie.
Gdy skończyłem, doktor nagle jakby, natchniony zawołał: "skrzypce!
skrzypce!
tylko prędzej, spiesz się, a może jeszcze będzie ratunek. "
Zbiegłem natychmiast do mego pomieszkania i porwałem moje
czarodziejskie
skrzypce.

Na znak doktora pociągnąłem smyczkiem po strunach grając cudną
aryę grobową.
Marya zadrżała, doktor zwruszeniem słuchał muzyki, zdając się
zapominać prawie o
chorym i o przyczynie, dla której grałem. Ja sam tylko na ten raz
jeden
zachowałem całą przytomność umysłu, i całe czucie wlewając w grę
moją, wzrokiem
ścigałem każdy promień życia rozjaśniający w tej chwili twarz
kataleptyka.
Powoli powieki jego poczęły się z lekka poruszać, jak gdyby
wyrabiając łzę,
która jak kropla ożywczej rosy spłynęła na twarz, potem westchnął
mocno, a to
westchnienie odbiło się W duszy Maryi anielską nutą, która zлана z
dźwiękiem
muzyki brzmiała w jej duszy tak cudnie i pięknie, jak hymn nadziei
przy łóżu jej
konającego ojca.
Muzyka działała więcej w tej chwili, niżeli sztuka lekarska i jej
pomoc
działać

mogły. Ojciec Maryi został ocalony; miłość sztuki, wrażenia zawiści i
boleści
wprowadziły go w ten stan tak podobny śmierci, czarodziejska moc
muzyki
powróciła mu życie, które niestety wkrótce miało zgasnąć.
Doktor przepisał lekarstwo choremu, i objawił środki leczenia go.
Odtąd wraz ze
mną i Maryą bezprzestannie czuwał nad łóżem nieszczęśliwego.
Często jednakże

całe godziny w jego nieobecności spędzałem samotnie z Maryą, gdy
jej ojciec
pogrążony we śnie, nie mógł być świadkiem naszych rozmów i
wzajemnych zwierzeń.
Marya codzień smutniejsza, przeczuwała już blizki kres życia ojca,
który
wyprowadzony z katalipsy wpadł w niewyleczone suchoty, a
gorączka dzień po dniu
trawiła ostatnie siły żywotne chorego.
Doktor zimny i obojętny człowiek na pozór, w głębi duszy chował
najszczytniejsze
uczucia szlachetności i cnoty. Od-

gadł on i przeniknął wzajemne serc naszych połączenie, i niewidząc
już żadnego w
swej nauce środka wyratowania ojca Maryi, chciał przynajmniej, aby
jej
przyszłość zapewnioną była na wypadek śmierci jego.
Pewnego więc dnia chcąc zbadać moje względem niej zamiary,
wyprowadziwszy mnie z
izdebki, gdzie Marya przy chorym pozostała, spytał mnie poważnym
głosem, czy
myślę poślubić Maryę.
Z zimną krwią przyjąłem to zapytanie, i z ust jego wyrzeczone nie
zadziwiło mnie
wcale. Uważałem jednak pewne wzruszenie w jego głosie, gdy te
słowa wymówił do
mnie; i dla tego domyślając się jakichś także w duszy doktora
względem Maryi
zamiarów, odpowiedziałem mu krótko i obojętnie:
— Tak panie, kocham Maryę, wszak to' jest dosyć wiedzieć dla pana,
i
poprzestaniesz zapewne na tej odpowiedzi?

— Bynajmniej, rzekł on, to nie jest dosyć, że pan ją kochasz i
poślubisz, lecz
chcę wiedzieć jeszcze, czy pewnym jesteś że zdołasz przynieść jej
szczęście?
Zapytanie to dotknęło mnie, jednakże tłumiąc moje uniesienie, wprost
nie
odpowiadając na nie, rzekłem tylko.
— Szczęście Maryi będzie w mojej miłości, a ta się nigdy nie zmieni.
Doktor zamilkł, i tylko ścisnął dłoń moją, jak gdyby chciał
powiedzieć: wierzę
ci zupełnie. Lecz nagle ujrzałem jakąś chmurę na jego czole, i po
chwili namysłu
rzekł do mnie.
— Juliuszu, jesteś dobrym i szlachetnym, znam oddawna twój
charakter i twoje
serce, zdolny jesteś zapewnić szczęście kobiety, która z twoim swój
los połączy;
lecz pomnij na nieszczęście jej ojca, bo często żądza sławy i miłość
sztuki
wyższą jest nad miłość kobiety; biada tej,

która odda się takiemu i połączy swój los z losem zapaleńca.
Słowa te wymówił poważnym głosem, i po chwili ciszej z
mocniejszym niż wpierw
wzruszeniem dodał:

— Kilka już tylko dni życia mu pozostaje, trzeba ażeby Marya przed
śmiercią
jeszcze ojca była twoją żoną. Ona niewie jeszcze, że tak bliska żałoba
ją czeka;
niech przynajmniej dłoń konającego ojca pobłogosławi was, nim go
Marya utraci na
zawsze.
Nie pamiętam co odpowiedziałem na to, uścisnąłem tylko rękę jego z
prawdziwą
wdzięcznością, dojrzałem dwie łzy powoli spływające na twarz
doktora, lecz

wtenczas nieodgadłem ich przyczyny. Prosiłem go, aby uwiadomił o tem ojca Maryi, sam zaś natychmiast pobiegłem oświadczyć jej to i żądać odpowiedzi. Byłem pewny, że nieodmówi mi swej ręki, znalazłem bowiem całą siłę jej miło-

ści dla mnie, i niezawiodłem się. Jednakże Marya żądała odłożenia naszego ślubu aż do chwili zupełnego wyzdrowienia ojca. Biedna! nieprzeczuwała jeszcze nieszczęścia, jakie ją wkrótce miało dotknąć. Na moje usilne prośby i udzieloną jej radę doktora, że tylko spokojność o przyszłość córki może przynieść ulgę cierpieniom chorego, Marya zezwoliła wreszcie oddać mi swą rękę, i dzień ślubu naszego oznaczonym został. Przez te kilka dni ojciec Maryi zdawał się być spokojniejszym, chciał nawet powstać z łóżka mówiąc, że się czuje zdrowszym. W wilją dnia oznaczonego w myśli na ślub mój z Maryą, pod niebytność naszą, gdy Marya od kilku tygodni pierwszy raz dopiero zdołała zejść do ogródka dla podlania wodą kwiatów, i ja udałem się także do pomieszkania mego, aby raz pierwszy po tak długiej przerwie wziąć do

rąk ukochane skrzypce i pomówić z niemi serca i duszy głosem. Doktor pozostawszy sam z swym pacyentem zaczął z nim rozmowę, którą mi potem w zupełności powtórzył.
— Czy myślałeś kiedy panie o przyszłości twej córki, i o jej postanowieniu? rzekł

doktór, nie wiedząc od czego zacząć, zacinając się w mowie. Chory zrozumiał myśl zawartą w tych słowach, i chmura smutku pokryła mu czoło blade i zorane zmarszczkami.

— Czy myślałem doktorze, rzekł, o! odkąd światło dzienne ujrzała, od pierwszej chwili jej życia, myślałem że może kiedyś będzie żoną sławnego człowieka, będzie żoną muzyka, artysty, i cała przyszłość córki mej zamykała się w tej jednej myśli... a dziś, doktorze, dziś tę myśl przeklinam, bo ona byłaby nieszczęśliwą, zgubioną, gdyby się spełniło moje pragnienie. Biada kobiecie, któraby ko-

chała mnie podobnego szaleńca, zapalonego wielbiciela sztuki, natchnionego żądzą stawy. Doktor zamyślił się, i pogrążony w smutnym dumaniu nie zaraz zdołał odpowiedzieć na słowa jego.

— A gdyby też ten co kocha Maryę wyrzekł się sztuki, dla której mógłby ją zapomnieć, rzekł doktor z szlachetnym poświęceniem, czyliż i wtenczas wahałbyś się powierzyć mu los twej córki"?

— O kim mówisz panie? zawołał z przerażeniem zrywając się z pościeli muzyk, miałżeby on... on... kochać Maryę; i ona uwierzyła tej miłości!... o nieszczęśliwe dziecko moje, biedna, biedna sierota!

— Ale tak jest, rzekł po chwili z goryczą i żalem, ja sam pozwoliłem na to zbliżenie, sam zachęciłem Maryę do tej miłości budząc w niej zamiłowanie

wszystkiego co jest pięknem, Szczytnem, wielkiem. Sam
wprowadziłem w mój dom Ju-

liusza, i za syna go uważając przeznaczałem na ręką Maryi. Niestety!
czemuż
dopiero teraz, jedną już nogą stojąc W grobie poznałem jak wielkiem
dla niej
zgotował nieszczęście? O mój Boże, nazbyt srogo ukarałeś mnie, lecz
nie karz i
nie bierz pomsty na niej za winy ojca, który więcej kochał sztukę od
własnego
dziecięcia!
I zasłonił twarz swą rękami, a łzy obfite przez palce sączyły się
powoli.
Doktor uspokajał chorego zapewniając, że miłość moja dla Maryi
wyższą jest nad
wszystko, że dla niej gotów jestem zrobić wszystkie ofiary.
Muzyk odpowiedział na to, nieco uspokojony temi zapewnieniami.
— A więc zezwolę na ich połączenie pod tym tylko warunkiem, jeżeli
zupełnie
wyrzeczę się sztuki, jeżeli przysięgnie nigdy więcej niewziąć do rąk
instrumentu, którego zamiłowanie mogłoby zniweczyć'

kiedyś miłość dla Maryi, tak jak ja zrzekłem się, nieczując w sobie sił
stać
na równi z pierwszymi mistrzami muzyki.
Mówiąc to, spojrział ze smutkiem na skrzypce okryte czarną krepa, i
wydawszy jęk
głuchy upadł na łożo zalane łzami. Doktor uspokajał go, a za
nadejściem Maryi,
zostawiając chorego stararami córki, zszedł do mnie uwiadamiając
o wszystkim
co zaszło i powtarzając treść całej rozmowy.

Właśnie gdy wchodził, pierwszy raz od czasu choroby ojca Maryi,
zdjęty niezwykle
pokusą, wziąłem skrzypce do rąk, i już miałem pociągnąć smyczkiem
po strunach
zaczynając grać, kiedyś posłyszał stąpanie jego. Poznawszy chód
doktora rzuciłem
skrzypce z pośpiechem, aby ich u mnie w ręku nie zobaczył, i
szczęściem dość
wcześnie jeszcze nim wszedł do pomieszkania mego, zdołałem je
zasłonić przed
jego okiem. Ucieszony zezwoleniem ojcu

Maryi uściskałem doktora, przyrzekając mu zrobić wszystko czego
tylko szczęście
Maryi będzie wymagało. W uniesieniu radości gotów byłem prawie
skruszyć
skrzypce, cisnąć je pod nogi doktora, aby go zapewnić o mojej dla
Maryi miłości;
lecz nie uczyniłem tego, a skrzypce pozostały mi jeszcze abym na
nich odegrał
trojaką nutę, miłości, pogrzebu i rozpacz.

Nazajutrz zrana odbył się ślub mój z "Maryą. Prócz doktora i jednej z
dalekich
krewnych moich, oraz młodego sąsiada Gustawa i stolarza
sprzedającego trumny,
którzy sami, pierwszy może z natchnienia poezyi, drugi z ciekawości,
znajdowali
się przy tym obrzędzie, nikogo więcej niebyło.

Po ślubie wraz z Maryą i doktorem powróciliśmy do siebie. Marya
była pogodna i
spokojna" bo w głębi jej duszy żyła jeszcze nadzieja szczęścia, którego
dzień ten
miał być spełnieniem.

Czoło doktora było posepne, a usta drżały jak gdyby w paroxyzmie febry, gdy żegnając Maryę wieczorem składał jej zwyczajne życzenia szczęścia; prosił ją wówczas, aby go jak przyjaciela uważała. Niestety, ten pierwszy wieczór małżeństwa jakże był smutnym dla nas. Gdyśmy pozostali sami, oboje milcząc, usiedliśmy przy łożu chorego, który cały dzień był wesół i spokojny, córkę po kilkakrotnie całował i błogosławił, mnie zaś synem swoim nazywał, i pokazując na Maryę błagał ze łzami ażebym ją uczynił szczęśliwą. Przed wieczorem jednakże stał się milczącym, i bardziej jak zawsze niespokojnym; pot zimny występował mu na czoło, a twarz jakby wypieczona nie zwykłym gorzała rumieńcem. Oczy bystro patrzyły, raz wraz zwracał to na mnie, to na Maryę, to na otaczające go przedmioty wejrzenie.

Ja usiadłem w nogach łóżka, Marya uklękła przy ojcu trzymając dłoń jego w swej dłoni. Lecz już widocznie siły go opuszczały, chociaż pokilkakrotnie chciał powstać z łóżka; jednakże oczy jego raz ostatni skierowały się na wiszący na ścianie instrument. Wzrok jego ożywił się i cichym wymówił głosem. — Podaj mi skrzypce! Odsłoniłem czarną krepę i podałem mu skrzypce, u których wszystkie struny były porwane. — O! nawiąż, nawiąż struny! zawołał na mnie błagającym głosem, jeszcze jest czas, ale śpiesz się, bo niedługo wszystko się skończy... o śpiesz się na miłość

Boga, na miłość sztuki zaklinam cię... niech umrę grając, pozwól
niech się raz
ostatni dotknę tych skrzypców, niech głosem ich przemówię do was,
niech z
dźwiękiem muzyki dusza moja ztąd do nieba uleci

Chciałem mu przynieść moje skrzypce, ale żądał koniecznie, abym
mu do jego
własnych struny nawiązał. Uczyniłem zadość jego żądaniu. Wziął
skrzypce do rąk.
Marya klęczała ciągle blada i nieruchoma, ja stałem oparty o poręcz
łóżka, mając
oczy zwrócone na twarz konającego muzyka.
Pociągnął smyczkiem po strunach, i pieśń anielska, pieśń poczęta w
prawdziwie
świętem, boskiem natchnieniu, pieśń pochodząca z głębi serca, w
której się
wylała cała boleść i tęsknota wyrywającej się z objęć tego świata
duszy,
zabrzmiała jak hymn Israfila () w świętym przybytku nieśmiertelności
nucona na
cześć stwórcy wszech światów.
Zachwycony i uroczonej potęgą tej muzyki w której konający
skrzypek wydał całą
słodycz i piękność talentu połączoną z silnem i głębokiem uczuciem,
ukłękłem
także zdjęty czcią religijną dla Mistrza i

() Anioł melodyi.

dla sztuki, którą uważałem za najwyższy szczebel piękności, za
najszczytniejsze

piętno naszego boskiego pochodzenia; i łzami zalany słuchałem tej
cudownej
muzyki, tej gry konającego, w której jakby w ostatnim pożegnaniu
swojem z tym
światem wydał całą boleść swej duszy i żal przeszłości.
Powoli coraz słabsze tony wydobywały z instrumentu, który skrzypek
swą grą
ożywiał; i w stosunku jak siły i życie opuszczało grającego, głos
skrzypców
słabiał, i tony coraz cichsze zaledwie dosłyszeć można było, aż
smyczek wypadł z
rąk jego, i wszystko ucichło... tylko w sercu brzmiała jeszcze konająca
nuta
muzyki, a dusza mistrza przedarła zaporę wstrzymującą ją na tej
ziemi, i
uleciała daleko w krainę szczęścia i nieśmiertelności; i w tejże chwili
wypuszczone z rąk skrzypce upadając na ziemię rozbiły się na
kawałki wydając jęk

głuchy, jak gdyby i w nich zamknięta dusza porzucając swoje
mieszkanie tym
jękiem świat żegnała, goniąc za duszą mistrza, za duszą tego, który ją
w tych
skrzypcach zaklął, zaczarował.
Marya oddała się rozpacz, ja czcياً religijną przejęty uklękłem przy
łożu
zmarłego, i cicho odmawiałem modlitwy.
O ileż poezji dla mnie miała ta scena! Mnie się wydawało to
najwyższym szczyblem
piękności umierać tak, jak umarł skrzypek, jeszcze w chwili konania
zachwycając
dusze i wzruszając serca.
Kiedy oddany samolubnym rozmyślaniom, wzruszony i uniesiony
duszą w inny kraj
marzenia, zapomniałem prawie o nieszczęściu Maryi i jej sieroctwie,
ona

uspokoila się powoli, a łzy ciche rzewnej tęsknoty i smutku zastąpiły
chwilową
rozpacz, jakiej się oddała po stracie ojca.
O! ten dzień szczęścia i połączenia naszego, i ta noc śmierci i żałoby,
długo,

na całe życie pozostaną w mojej pamięci. Ten trup leżący na chłodnej
pościeli z
otwartymi jeszcze oczyma, którymi zdawał się żegnać nas po raz
ostatni, a przy
nim Marya zalana łzami smutna i blada, w białej sukience i w
ślubnym welonie,
ubrana w kwiaty jak w dniu radości i wesela, to wszystko pozostało
głęboko w mem
sercu wyryte, to wszystko wydaje się dziś oczom moim jak sen jakiś
daleki.
Ale niedługo ocknąłem się z tego smutnego marzenia. Niepewne
światło poranka
przedarło się przez zasłonięte zieloną firanką okna, rozjaśniając
pomrok
otaczającej nas nocy, bo od godziny już lampa paląca się w pokoju
zgasła, a
żadne z nas dotąd niezwróciło na to uwagi.
Promyk wschodu przenikający do głębi pomieszkania upadł prosto na
twarz zmarłego
i rozjaśnił ją jakimś nieziemskim światłem. Oblicze wypogodziło
się, zni-

kła chmura za życia pokrywająca czoło jego, znikły i zmarszczki
wyryte na niem,
a twarz przybrała wyraz błogiej spokojności i szczęścia.
Marya spojrzała na ojca, potem na mnie, i na swoją ślubną sukienkę, i
milcząc

odpięła biały welon i kwiaty jakie miała na skroni i do łona przypięte
położyła
na piersiach ojca.
O jakże nieraz zmarłemu przystoi splatać z mirtu i rozmarynu wieńce,
jak często
cyprys wykwita obok weselnej gałązki.
Ja podniosłem strzaskane skrzypce i położyłem je obok trupa na
jednym pośłaniu,
potem twarz jego nakryłem tym samym welonem, który przed chwilą
Marya miała
przypięty na skroni. Jak reszta godzin pozostałego poranku upłynęła
nam,
niewiem; pogrążony w smutnych myślach i gorzkim dumaniu, w
smutnem świetle
przedstawiałem sobie przyszłość Maryi w połączeniu zemną; bałem
się ażeby mój
za-

pał do muzyki nie przeszedł w namiętność, a zamiłowanie sztuki w
fanatyzm; bałem
się nie o siebie samego, lecz o tę, której los tak ściśle teraz połączony
był z
moim, i uniesiony miłością dla Maryi, przejęty obawą o jej
przyszłość,
przysięgłem przy zwłokach jej zmarłego ojca porzucić skrzypce, i
wyrzec się
muzyki. Bo czyliż sława i poklask świata zdolne są zastąpić ciche
szczęście
domowe i to życie przeplatane miłością i rozkoszą, jakie mnie czekało
z Maryą?
Uścisnąłem ją wtedy i powtórzyłem przed nią uczynione
postanowienie. Marya z
uczuciem wdzięczności spojrzała na mnie, a to spojrzenie
wynagrodziło mi
wszystko, w niem odbiła się cała miłość jej duszy; a ta miłość i ufność
jaką

położyła wemnie zmniejszała boleść i cierpienie, które ją dotknęło i
żał tak
wielkiej straty.
Słońce już dosyć wysoko było na niebie, oboje uklękliśmy przy łożu
Zmarłego

modłąc się za jego duszę. Ktoś lekko poruszył klamką i otwierając
drzwi, które
na klucz niebyły zamknięte wszedł do pokoju.
Był to doktor. Widok, który go uderzył, tak niespodziany i tak
okropny, zachwiał
jego siły, i musiał oprzeć się o ścianę ażeby nie upaść, nazbyt mocnem
przejęty
wzruszeniem.
Na szelest uczyniony przy otwieraniu drzwi powstałem i podszedłem
ku niemu.
Marya pozostała w tej samej klęczącej postawie nie spostrzegając
przybycia
doktora. Zbliżyłem się do niego smutnem przejęty uczuciem, podając
mu rękę aby
go utrzymać, i rzekłem:
— Patrz doktorze, żałobny cyprys za kwitł na grobie naszych nadziei!
Twarz doktora była blada i zmieniona, usta mocno drżały, gdy
przemówiłem do
niego, oczy głęboko zapadłe mdłym światłem świeciły; nagle
chorowity rumieniec

wykwitnął na jego wychudłe lica i wzrok ożywił się, a dwie łzy
spłynęły z pod
powieki.
Odgadłem walkę uczuć, jaką toczył sam z sobą i zrozumiałem ów
zapał, jaki na

nowo twarz jego ożywił, walkę miłości i namiętności tłumionych w sercu i zapal świętej cnoty. Od dawna spostrzegałem wzruszenie jakie ogarniało go na widok Maryi, i w spojrzeniach, w rozmowie, w całym jego postępowaniu natchnionem szlachetną miłością, odgadłem uczucie jakie żywił dla niej w swem sercu od pierwszej chwili poznania. I teraz zrozumiałem natychmiast to nowe wzruszenie. Aż do tej pory doktor przechowywał w duszy to uczucie; — dziś widząc ją opuszczoną, samotną na świecie, przy trupie jej ojca — wyrzekął się tej miłości, bo Marya odtąd tylko do mnie miała należeć, bo na całym wielkim świecie pozostałem jej tylko jeden. I od tej chwili postępowanie doktora. za-

wsze piękne i szlachetne, okazało najdobitniej cnotliwą jego duszę, odtąd już jak ojciec był dla Maryi i dla mnie, pragnąc zastąpić osieroconym miejsce prawdziwego ojca. Nie na tem jeszcze skończyły się dowody jego szlachetności, wyznał mi sam wszystkie uczucia swoje, powierzył najskrytsze myśli i podając mi rękę, kiedy przed nim powtórzyłem uczynione dla szczęścia Maryi postanowienie wyrzeczenia się gry, uścisnął mnie tkliwie i rzekł: — Juliuszu, odtąd przyjmij przyjaźń moją, jesteś dobry i szlachetny, kto zdolnym jest z siebie zrobić podobną ofiarę, godzien szczęścia, jakie go czeka w pożyciu z Maryą, bo ona jest prawdziwym aniołem cnoty i miłości.

Potem dodał po chwili smutnego zamyślenia:

— A dla mnie żadnjeże nie będzie, na-

grody, dla mnie com się wyrzekł tego szczęścia? — Podałem mu rękę mówiąc.

— Przyjaźń! przyjaźń tak prawdziwa jak twoja, a nigdy nie zmieniona. — Doktorze,

odtąd uważamy cię jak ojca, jak brata, przyjaciela naszego. — Czy przyjmujesz tę

przyjaźń, którą ci ofiarujemy, czy nie wzgardzisz nią ?

Uścisnął rękę moją z uczuciem.

W tej chwili nadeszła Marya, nie słyszała tej rozmowy prócz ostatnich słów

przemennie wyrzeczonych, i ona także podała mu maleńką dłoń swoją mówiąc:

— O tak, my teraz potrzebujemy twej przyjaźni doktorze, ty jesteś tak dobry, tak szlachetny!

A on przycisnął jej dłoń do ust i tak był mocno wzruszony, że gdybym go nie był

podtrzymał byłby upadł może.

Od śmierci ojca Maryi i jego pogrzebu doktor prawie codziennym był gościem na-

szym; widząc jego szlachetne postępowanie i ufając prawdziwej dla nas przyjaźni,

a co więcej poznawszy zupełnie jego charakter, uważałem go za domowego prawie, a

że Marya od pewnego czasu zapadła nieco na zdrowiu, sam przeniosłszy się do

dawnego pomieszkania mego o piętro niżej, ustąpiłem mu izdebki, którą

zajmowaliśmy na drugim piętrze, a która tyle smutnych wspomnień przywodziła na

pamięć Maryi od dnia śmierci jej ojca..
Kilka miesięcy upłynęło po ślubie naszym i po pogrzebie ojca Maryi
który na
trzeci dzień odbył się. Łzy powoli płynąć przestały, uśmiech powrócił'
na usta
Maryi, tylko jakiś smutny a nie wesoły, nadzieja znowu wstąpiła w
duszę.
Przez cały ten czas nie dotknąłem się ani razu lubego instrumentu.
Skrzypce moje
poświęcone grą Paganiniego wisiały na ścianie okryte kurzem i czarną
sukienką
żałoby, taż samą krepa, którą ojciec Ma-

ryi za życia nakrył był rozbite skrzypce swoje, wyrzekając się ich na
zawsze.
Przechodziłem koło nich i smutnem tylko, witałem spojrzeniem, jak
się przechodzi
i wita stary nagrobek, który smutne w duszy naszej przebudza
wspomnienia, bo pod
nim kryje się wszystko, co niegdyś było nam drogiem na ziemi.
Zdawało mi się, że
w skrzypcach tych mieszkała zaklęta dusza zmarłego skrzypka, i że za
poruszeniem
strun przebudziłaby się, ciskając przekleństwo na mnie za złamanie
przysięgi
uczynionej niegdyś, iż nigdy grać nie będę.
Codzielną większą zmianą zachodziła we mnie. Już miłość i pieszczoty
Maryi,
zapewnienia jej najtkliwszego przywiązania i żywe tegoż
przywiązania dowody, już
ciche życie domowe, samotne, jednostajne, niewystarczało gorącym
żądaniom mej
duszy wrzącej jak wulkan, w której tliło żywsze uczucie i niezgaszone
pragnienia, żądza sławy i miłość sztuki.

Dręczony tak codzień nowymi pragnieniami, którym się oprzeć dłużej
nie mogłem,
począłem unikać Maryi, szukać samotności, bo mnie w końcu
znudziły prawie jej
ciągłe oświadczenia miłości; uciekałem z domu, powracałem późno w
nocy, aby się
z nią nie spotkać. A gdy Marya zalana łzami oczekując na mnie i
bezsenne trawiąc
noce, które spędzałem za domem, witała mnie powracającego, zimno
przyjmowałem
tkliwe dowody jej miłości i obojętnie patrzałem na boleść jej
zadawaną.
Doktor odgadywał przyczynę moich cierpień i zmiany jaka zaszła w
moim
charakterze; on zrozumiał powód tej choroby, ale nieśmiało dawać mi
na nią
lekarstwa, bo to stałoby się może trucizną dla Maryi. Ta zaś nie
zgadując
prawdziwej przyczyny zmiany w moim postępowaniu, przypisywała
ją skrytej
miłości, — niestety, nie miłość sztuki; a chociaż daleką

była od zazdrości, cierpienia jakie ja znosiłem podwojone odbiły się w
jej
sercu. Pewnego dnia byłem na koncercie sławnego mistrza
przejeżdżającego przez
Warszawę. Publiczność przyjęła go z zapalem i obsypała tysiącem
poklasków; ja
tylko milcząc stałem oparty o filar, i ani jednym znakiem
niepokazałem
wzruszenia serca mego. Co się działo w mej duszy w tej chwili, chwili
prawdziwego tryumfu sztuki, gdy mistrz tysięcznymi przyjęty
poklaski stał pośród
zgromadzonych słuchaczy jak archaniół w całym blasku chwały, o!
tego opisać

niepodobna.

Późno w nocy wróciłem do domu smutny i zamyślony. Marya spotkała mnie w progu witając, niespokojna dla czego tak się spóźniłem. Zimno odpowiedziałem na jej troskliwe zapytania i niechętnie dotknąłem ręki, którą mi podała. — Czemuż nie poszłaś spać do tej pory? rzekłem.

Nic mi nieodpowiedziała, słowa na ustach skonały, łzy stanęły jej w oczach.

Pierwszy to raz od czasu naszego połączenia tak przykro mówiłem do niej, tak

zimno powitałem.

Żałowałem w duszy mego postępu, łagodniej powtórzyłem słowa moje, prosząc Maryę

aby się udała na spoczynek. Marya wypełniła moje żądanie i wolnym krokiem

oddaliła się do sypialnego pokoju, jakby oczekując jeszcze, czy choć jednym

tkliwszem słówkiem nienagrodzę jej zadanej przed chwilą boleści.

Wzruszyło mnie

to i uścisnąłem ją czule, zapewniając o mojem do niej przywiązaniu, i tłumacząc

się dla czego tak późno wróciłem. Nieodkryłem jej jednak tego, że byłem na

koncercie, niewiem sam dla jakiej przyczyny czułem w sercu obawę do odkrycia

Maryi, że muzyka to, że wyrzeczenie się jej taką zmianę zdziałało wemnie, i nic

nie wspomniałem o wrażeniach tego wieczora,

jakby lękając się odkryć Maryi, że w sztuce miała spół-kochankę.

Długo niemogłem zasnąć; tysiące myśli i wyobrażeń zmieniło się w mojej głowie,

potem wszystkie myśli skupiły się w jeden punkt, w jedno
wspomnienie tej chwili
tryumfu, jaką miałem przed oczyma kilką godzinami przedtem, i
uczułem jak kropla
po kropli zabójcza trucizna spływała w serce moje, paląc je i dręcząc
nieznośnie, i budząc w mej duszy dawne pragnienia powiększone
żądzą sławy.
O! czułem wtenczas, że to ciche życie domowe, które wiodłem aż do
tej pory,
pieszczoty tkliwej żony, wzajemne przyszłego szczęścia marzenia, i to
szczęście
w terażniejszości zamknięte, niezdolają wystarczyć dla mnie na całe
życie, i
pierwszy to raz począłem żałować, że przez miłość dla Maryi
wyrzekłem się tej
sławy, którą mógłbym pozyskać, wyrzekłem sztuki, którą kochałem
niegdyś całą
duszą

moją, której mógłbym się stać najpierwszym, najślawniejszym
mistrzem.
Żałowałem mojej przysięgi; przecież niemożna już było przełamać jej,
byłoby to
świętokradztwem, które lękałem się spełnić, bo mi się zdawało, że
duch ojca
Maryi, przy którego trumnie wymówiłem tę przysięgę, stanąłby
przedemną w chwili
gdybym ją przełamał, i rzucił przekleństwo.
Dziwne sny dręczyły mnie tej nocy. Śniło mi się, że się znajdowałem
pośród
wielkiego zgromadzenia słuchaczy, którzy oczekiwali aż grę
rozpoczną. Cisza
uroczysta tylko niekiedy przerywaną była słowy oczekując go i
niecierpliwującego
się tłumu, który wołał: zaczynać! zaczynać!... Na podwyższeniu stał
wielki

ołtarz złoty, a w około niego grono Mistrzów sławnych, którzy
trzymali się za
ręce. Każdy z nich miał na skroni wieniec laurowy. Na dany znak
każdy z nich
wziął

do rąk instrument, i wszyscy razem poczęli grać, cudownie zgadzając
się, z sobą;
anielska harmonia spływała w moją duszę... uroczony potęgą muzyki i
uniesiony
zapałem, i ja sięgnąłem także po moje skrzypce i pociągnąłem
smyczkiem po
strunach.

Wtem krzyk Maryi przebudził mnie i wypuściłem z rąk skrzypce,
które rzeczywiście
przez sen zdjąłem ze ściany. Otrzeźwiłem się zupełnie, marzenie
znikło, została
rzeczywistość tylko. Mój sen zapowiadał mi tyle, i wszystko,
wszystko zniszczył
jeden krzyk kobiety, żony.
Spojrzałem w około siebie; lampa postawiona w kominie, gasnąca już,
konającym
światłem rozjaśniła pomrok otaczającej mnie nocy.
Przytem niepewnym światelku spostrzegłem, że Marya nie położyła
się wcale, lecz
tylko klęcząc przed wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa w czasie
modlitwy
zasnęła. Niewiem jaki był powód krzyku

jej, który mnie ze snu przebudził. Nazajutrz dopiero Marya
opowiedziała mi, że
tej nocy miała sen straszliwy, lecz nie chciała mi wyznać co jej się
śniło, ja

zaś nie dopytywałem się wcale.

Od tego czasu dostrzegłem wielką zmianę w Maryi. Wpierw spokojna i szczęśliwa, ufająca mojej miłości i wierząca jej zupełnie; nagle stała się smutną i zamyśloną, niespokojną, lękliwą, jakby przewidywała jakieś nieszczęście, które się nad nią miało spełnić. Z początku trwożyłem się tą zmianą okazującą się w niej tak widocznie, i przypisywałem to różnym przyczynom, starając się zbadać prawdziwy powód tego; lecz ona uporczywie milczała, niechcąc nic wyznać. I ja także wpadłem w ponury jakiś smutek, a nie znajdując dawnego szczęścia w domu powróciłem do pierwszych moich marzeń, i pragnienie przytłumione w sercu miłością dla Maryi odżyło w całej swej pierwotnej sile.

Zmianę w usposobieniach Maryi przypisywałem jej zubożeniu dla mnie; nieczując już krepujących mnie węzłów miłości, starałem się sam wyłamać z pod dawnych uczynionych dobrowolnie przyrzeczeń i odwołać przysięgę wyrzeczoną na grobie ojca Maryi w chwili uniesienia, które teraz za szaleństwo brałem. Do tego przyszło, że sobie wytłomaczyłem, iż przysięga moja wyrzeczenia się muzyki była śmiesznością, dziwactwem, powróciłem do moich skrzypców; jednakże wstydząc się w obec Maryi wyrzeczoną przełamywać przysięgę, odtąd grywałem tylko potajemnie, w jej nieobecności, albo wychodziłem z domu unosząc skrzypce pod płaszczem, i grywałem w odosobnionych miejscach za miastem, lub w wynajętym na innej ulicy

pomieszkaniu, o którym Marya niewiedział wcale.
Nieraz zdarzało się, iż, gdy wyszedłem za miasto, na oddalonym
usiadłszy wzgó-

ku, lub w cieniu drzew osłaniających mnie przed skwarem słońca i
wzrokiem
ciekawych, począłem grać: na dźwięk muzyki zebrało się w koło mnie
mnóstwo
słuchaczy, którzy uroczem czarodziejską potęgą muzyki powoli i
ostrożnie
podchodzili aż pod sam wzgórek, i prawie oddech wstrzymując w
piersiach
słuchali, lękając się abym rozgniewany ich natręctwem grać nie
przestał i nie
porzucił raz wybranego miejsca.
Jeden z pagórków ulubionych przezemnie daleko za miastem, na
którym zwykłem byłem
siadać i grywać, nazwano dla tej przyczyny wzgórkiem artysty, a
mieszkańcy z
sąsiednich okolic lubiący wszystkie powieści swoje stroić w
poetyczną cudowności
i czarów sukienkę, utworzyli sobie nowe podanie o tym wzgórku
mówiąc, że tam w
przed porannej chwili anioł muzyki zstępował na ziemię, i z tego
miejsca
spoglądając na świat zwoływał ludzi

do modlitwy, grając hymn na część Najwyższego.
Często gdy zamknięty w samotnym moim mieszkaniu, z którego
okien widać było
całą niemal Warszawę upięknioną tysiącem wież, kościołów i
pałaców, i
zieleniejącą mnóstwem ogrodów, gdy jakby w roju pszczoł tysiące
przesuwały się i

roiły po ulicach, a ja pojrzałem dalej jeszcze i dalej ku niebu i słońcu,
utonałem w smutnych marzeniach, albo grając na skrzypcach, muzyką
leczyłem
zbolełe serce i wiecznie cierpiącą duszę moją: biedna Marya we łzach
i smutku
przepędzała samotnie długie dnia godziny, rachując każdą chwilę,
która mnie z
nią rozłączała i oczekując niecierpliwie mego powrotu; a gdy
wróciłem zapomniała
znowu o wszystkim, o swoich łzach, cierpieniach, słowem o całym
zapominała
świecie, na nowo wierząc mojej miłości, z nową nadzieją oddając się
słodkim
szczę-

ścia marzeniom, szczęścia, którego ja nie znalazł, którego ona
próżno szukała,
O! bo ja kochałem jeszcze Maryę; niestety! czemuż nie ją jedną tylko,
czemuż
więcej od niej kochałem sztukę?
Raz Marya powitała mnie z radością w sercu, z uśmiechem na twarzy,
którego dawno
już niewidziałem u niej; wyznała mi tajemnicę, która tak słodka
wzruszyła jej
duszę, miała zostać matką, a myśl ta już ją uszczęśliwiała tyle, że
zapominała
nawet smutnego wrażenia, jakie jej oddawna pozostało po owym śnie,
którego
treści wyznać mi nie chciała dawniej.
Niepodobna opisać z jaką radością usłyszałem wyznanie Maryi, W tej
chwili gdy
przyciskając ją do serca powtarzałem najtkliwsze zapewnienia mojej
miłości,
drzwi się z lekka otworzyły i wszedł doktor, który od dwóch miesięcy
wyjechał

był za granicę do wód, jak mówił, a jak się domyślałem dla
rozerwania smutku i
wy-

gładzenia z duszy wspomnieli, które zatruwały mu życie.
Wszedłszy ujrzał nas tak, mnie wzruszonego, Maryą z oczyma od łez
mokremi...
słowa powitania, słowa przyjaźni skonały na jego ustach; kiedy Marya
podbiegła
ku niemu, a podając mu swoją maleńką rączkę do pocałowania,
wyrzekła te słowa z
swobodną prostotą:
— Doktorze, mam ci coś bardzo ważnego powiedzieć.
Na raz zrozumiał wszystko, odgadł jaka była treść naszej rozmowy,
treść
wyznania, które Marya miała mu zrobić, i tylko wzrok nieruchomy
zwrócił na twarz
jej, jak gdyby nieśmiało postąpić dalej kroku, jak gdyby obecność
zrozpaczonego
człowieka w tym przybytku szczęścia i miłości miała być
błuznierstwem i
świętokradztwem. Lecz prędko minęło pierwsze wzruszenie doktora, a
gdy Marya
zdziwiona zapytała go.

— Jaktó, nie się niedomyślasz przyjacielu"? co tobie, żeś tak smutny?
czy dawno
powróciłeś? a jak mogłeś tak długo wytrzymać bez nas? myśmy tu
bardzo tęsknili
za tobą!...
Zaledwie na jedno z tych zapytań wyrzeczonych razem mógł
odpowiedzieć:
— W tej chwili powróciłem, i natychmiast przyszedłem do was,
jeszcze nawet

niebyłem u siebie w pomieszkaniu.

— Czy zawsze jesteś tak czułym doktorze jak dawniej? rzekłem nieco dotknięty

jego słowa, choć te więcej przyjaźń samą, nie zaś inne żywsze malowały uczucie;

lecz mnie już to rozgniewało, że tak zimno, tak dziwnie przyjął to wyznanie

żony, którego domyślił się, i że nie dzielił zarówno z nami radości naszej.

Spojrzał na mnie smutnie, jak gdyby z wyrzutem, że nie słusznie temi dotknął go

słowy,

— O ja zawsze jestem czuły na nie-

dolę bliźnich, i szczęście moich przyjaciół! odpowiedział mi szlachetnie, a ja

zarumieniłem się zawstydzony mocno tak wspaniałomyślną odpowiedzią jego. W tych

słowach odbiła się cała piękność jego cnotliwej duszy.

Znowu na jakiś czas porzuciłem skrzypce, muzykę; znowu w cichem pożyciu domowym

na łonie ukochanej żony i przyjaciela doznawałem prawdziwego szczęścia, jakiego

tylko człowiek wżyciu kosztować może.

Raz Marya spokojna już i uradowana miłością, którą jej wróciłem, opowiedziała mi

marzenie owej nocy, które tak długo tała przedemną. Zadrzałem, sen jej co do

joty podobnym był z owym snem, który miałem niegdyś w nocy, gdy jej ojciec wiał

tak gwałtowny napad katalepsy, który potem spowodował śmierć jego. Sen ten więc

był przepowiednią jej i mojej

przyszłości, wróżbą dla mnie i dla Maryi która niezawodnie zjść się miała.

Ukryłem moją bojaźń i smutek w głębi duszy, i starałem się wygładzić z pamięci

Maryi obraz tego snu, jak czas i miłość Wrażenie jego wygładziły z jej serca.

Ale podwójne znosząc boleści, uwierzyłem zupełnie, że niezawodnie ta

przepowiednia senna zjść się musi, i czy prędzej czy później spełni dla nas.

A kiedy na nowo czyniłem w duszy postanowienie, aby już odtąd dla Maryi tylko

poświęcić się zupełnie, i wyrzec się wszelkich uczuć, które mogłyby miłość dla

niej w mem sercu osłabić, jakiś głos, jak głos czarnego anioła

powtarzał mi owe

straszliwe słowa zwątpienia i rozpacz: zapóźno zapóźno!

Wtenczas miłością moją i poświęceniem starałem się zapęłnić obecne chwile, i

czyniłem dla Maryi wszystko, co tylko uczynić było w mej mocy, a na potem

zostawiłem dla niej rozpacz, łzy, zwątpienie.

To potem przyszło dla niej niedługo; miłość sztuki zwalczyła

przywiązanie żony;

i kiedy Marya w boleściach wydała na świat dziecię, które żalnym krzykiem i

płaczem zdawało się przyzywać oddalonego ojca: ja w tejże samej chwili otoczony

tłumem słuchaczy odbierałem poklaski, i głos moich skrzypców złął się z głosem

płaczącego dziecięcia w jednym niebie harmonii, jak głos płaczącej sieroty z

żałobnym dzwonem pogrzebu.

Ach! odtąd, odtąd uniesiony tym szalem, jaki mną władał w chwili, gdy oczarowani

potęgą muzyki słuchacze głośno objawiali mi swoje uwielbienie, albo zachwyceni uroczystą ciszą zachęcali do dalszego grania, a dźwięk wydobyty z martwego instrumentu płynął w ich dusze jak łza, jak kropla ożywiającej uczucie rosy; odtąd wyrzekłem się żony i dziecięcia, wyrzekłem miłości i przyjaźni, bom ja duszę moją zaczarował w tych skrzypcach, bo

na strunach mego instrumenta miałem wygrać hymn śmierci mojej żonie i memu dziecku, i hymn rozpaczki i zwątpienia dla siebie. I dzień po dniu upływał dla mnie w ciągłych wstrząśnieniach umysłu i duszy. w ciągłym upojeniu i zachwycie. Z początku żądza sławy przywiązywała mnie do mego instrumentu, poklaski którymi grę moją przyjmowano unosiły mnie w najwyższe zachwycenie, cieszyłem się nimi jak bohater lub poeta wieńcami, którymi go wdzięczni obdarzą czciciele; lecz z wolna pragnienie sławy znikło, ostygły gorące żądze młodości, ja pokochałem sztukę dla niej samej nie dla mnie; znudziły mnie poklaski, nudził tłum otaczający codzien, i wołający aby grać to lub owo; wesoło, kiedy mnie z duszy jak łza po łzie tęskne spływało natchnienie; smutno, kiedy ja uniesiony zapałem chciałem iskrę

po iskierce wydobywać im z serca, jakby, z krzemienia za uderzeniem stali.

Poznałem, że nikt nieczuł muzyki tyle, co ja ją czułem, że wrażenia odbijające się w duszy słuchaczy nie były z memi podobne, że nie pozostały dłużej w ich sercu jak do tej chwili póki grać nie przestałem; a potem każdy odchodził, i chwalił ot tak zimno, lodowo, żem nieraz z oburzenia i gniewu zrywał struny w mych skrzypcach, a potem, potem gorzkiemi łzami oplakując moją winę, całowałem znów i pieściłem skrzypce moje, i znowu nawiąawszy struny grałem, aż wszystkom wygrał, wyśpiewał, wydźwięczył, com miał na sercu i na duszy. Dnie jednakże przepędzałem całkowicie. w domu; wieczór dopiero wychodząc i powracając późno w nocy. Zacząłem unikać. owych tłumnych zgromadzeń, i teraz zamknięty w odosobnionym pokoiku moim na samotnej i odległej wynajętym ulicy,

grywałem dla siebie tylko i dla Boga, a pieśń prosto z duszy natchniona i nie sparodjowana szyderstwem lub pochwałą nędznego tłumu, płynęła po strunach skrzypców prosto do nieba. Marya cały dzień zajęta pracą, spędzała godziny przy kolebce dziecięcia, które słabe i bardzo mizerne krótkie zapowiadało istnienie. Doktor często odwiedzał nas. Uważałem, że na Maryę ze smutkiem, na mnie z gniewem i oburzeniem spoglądał. Domyśliłem się, że mnie podejrzewał w czemś, bo raz dał mi to poznać, mówiąc, że od pewnego czasu bardzo zaniedbuję żonę.

Marya nie robiła mi żadnych wymówek, nie żaliła się na moją obojętność, nie szukała nawet sposobu zbliżenia się do mnie; zdawało się, że cała jej miłość dla mnie przelała się teraz w uczucie macierzyństwa, że przez przywiązanie do dziecięcia przebaczała nawet zaniedbanie i zmia-

nę w uczuciach i przywiązaniu dawnem, jakim miał dla niej. Dla mnie była zawsze dobrą i tkliwą, mniej czułą i narzucającą się z swą miłością jak przedtem ale w gruncie serca ani na jotę niezmieniła się a uczucie jej podzielone pomiędzy mną i dziećciem nieostygło i nieosłabło wcale, tylko inny wzięło kierunek.

Jednakże coraz częstsze moje wychodzenie z domu wieczorem, i coraz późniejsze wracanie poczęło ją niepokoić; przecież poznałem, że to niebyła zazdrość, tylko obawa o los dziecięcia. Z początku starała się podwójną, czułością i pieszczotami wrócić mnie do obowiązków; potem pokazując mi dziecko, zalewając się łzami zaklinała abym niezapominał o niej i o niem; a gdy niepomogło ani jedno, ani drugie, w modlitwie szukała ulgi i pociechy dla zbolełego serca, i tuląc się pod skrzydła świętej Wiary i religii, czerpała nowe siły do znie-

sienią boleści, jakie jej postępowanie moje zadawało. Matka cierpiąca i nieszczęśliwa niemogła wykarmić zdrowo dziecięcia i tak już

wątlej ciała budowy; coraz słabsze i coraz chudsze wpadło nareszcie
w suchoty,
strute matczynem mlekiem, które za pokarm brało, bo trucizną łez już
przeszedł
ten pokarm.

Raz: kiedy dziecko było słabsze, niezważając na stan jego i cierpienie
matki,
wyszedłem z domu. Niestety, nie miałem już mego pokoiku.
Zaniedbanie się w pracy
i życie bezczynne wyczerpnęło wszystkie fundusze, jakie dotychczas
miałem;
nie było czym zapłacić oddzielnego pomieszkania. Musiałem więc aż
za miastem
szukać miejsca, gdziebym mógł grać swobodnie; bo nietylko, że minął
już pierwszy
zapał moich wielbicieli, lecz jeszcze ciż sami, którzy przed tem
obsypywali mnie
tysiącem, poklasków, teraz dowiedziawszy się

o mojem pożyciu z żoną, o moim do gry zapale, zamiłowanie sztuki
wzięli za
szaleństwo, a mnie nazywali waryatem, wstrząsając głową kiedy
przechodziłem
przez ulicę, i wytykając mnie palcami.
Nędza tak dalece przycisnęła mnie, że gdyby nie ręka opatrności,
która
niewiedomie wspierała nas, i praca Maryi co sama prawie zarabiała
nietylko na
utrzymanie swego życia i dziecięcia, ale i na mnie jeszcze: byłbym
może
przywiedziony do rozpaczony raz ostatni wyrwał się z pod tego uroku,
jaki na mnie
miała muzyka, i rozbił skrzypce, aby ocalić życie żony, synka i moje,
powracając
do pracy i dawnych zatrudnień.

Niestety, jakaś niepojęta moc zawsze wstrzymywała mnie od tego;
robiłem
najlepsze postanowienia, i łamałem prędzej jeszcze nim do ich
uskutecznienia
przyszło.
Tego dnia wychodząc nie zostawiłem Maryi ani grosza na żywność,
pewny, że

nieznajomy dobroczyńca wesprze ją, lub że od sąsiadów zdoła
pożyczyć. Doktor
wyjechał był podówczas na dni kilka z Warszawy, nie miałem z ką
dostać pieniędzy
i chciałem udać się do którego z szynków miejskich lub jakiej kolwiek
kawiarni,
aby grą moją, grą, która była modlitwą aniołów nie zaś prośbą
żebraka, zarobić
sobie na kupienie chleba dla mnie i dla Maryi karmiącej dziecie.
Zdjąłem skrzypce ze ściany Marya błagalnie spojrzała na ranie gdy
wychodził i
złożyła ręce jak do modlitwy, niby prosząc abym został, abym ją nie
opuszczał w
chwili, gdy dziecie w tak niebezpiecznym było stanie.
Poruszyłem kłamkę, i niezważając na ciężkie westchnienie, które się
wydobyło z
piersi Maryi, gdy zrozumiała, że próżne były jej prośby, abym
pozostał, zbiegłem
szybko ze schodów.
We drzwiach spotkałem stolarza sprze-

dającego trumny. Spojrzał na mnie dziwnym jakimś wzrokiem, i
zdawało mi się
nawet, że się nieznacznie przeżegnał; potem zapytał.
— Gdzież tak śpiesznie sąsiedzie? Niezwykły byłem wchodzić w
rozmowy

z sąsiadami memi, których nieznałem prawie, i nieodpowiadając ani
słowa
zabierałem się do wyjścia, lecz stolarz rzekł jeszcze.
— Ale, ale, czy pan każesz zanieść na górę tę trumienkę, która już jest
gotowa?
— Jaka, co to znaczy? spytałem pomięszany, wpadając na smutne
przeczcucie.
— Wczoraj obstalowano i zapłacono; mniemałem, że pan każesz ją
zanieść; ale
jeżeli nie, to może jeszcze pozostać u mnie. To mówiąc stolarz
zakręcił się i
drzwi zatrzasnąwszy wszedł do warsztatu. Niewiem czy umyślnie
takie mi zadał
pytanie;

lecz ta złowieszcza przepowiednia mocno wstrząsnęła mój umysł i
serce; a
przecież zamiast wrócić się i pielęgnować dziecko chore i może
rzeczywiście
blizkie śmierci, poszedłem na miasto.
Błądząc bez celu, natrafiłem na jedną szynkownię, która jeszcze
pomimo, że już
było po północy, otwartą była.
Począłem grać, tłum pijaków cisnął się do mnie, i otoczył w około, z
początku
szydząc, potem słuchając z uwagą. Jam ich oczarował mojem
graniem; a przecież
żaden z tych ludzi nieposunął się do tańca, chociaż grałem tak wesoło,
tak dziko
szaloną nutę, że mnie samemu serce skakało w piersiach, a po głowie
tańczyły
myśli ubrane w czarne żałobne sukienki, jak goście na balu, na stypie
pogrzebowej. Im większa rozpacz mnie ogarniała, im większy smutek
objawiał się w
duszy mojej, tem nuta bywała dziksza, weselsza, sprzeczna z
uczuciami

miotającemi mną

w chwili kiedy grałem; bo odkąd nauczyłem się grać dla zebrania
jałmużny,
musiałem stosować się do usposobienia słuchaczy, nie zaś do uczuć
własnego
serca i grać piosnkę pogrzebu na radosną nutę, i jęk rozpaczy głuścić
muzyką
wesela
Co chwila zwiększało się otaczające mnie koło słuchaczy, a ja
grałem wciąż; w
tem drzwi się otworzyły i wszedł jakiś człowiek, czarno ubrany,
zmierzył mnie ,
ponurym wzrokiem, zdawało mi się że twarz jego była mi znana, lecz
jej dobrze
rozeznać nie mogłem, gdyż skrzydlaty kapelusz osłaniał ją, rzucając
cień na
oblicze przychodnia.
Odwróciłem oczy od niego i chciałem grać znowu. Wtem nieznajomy
rozśmiał się tak
dziko, tak strasznie, że aż zadrzałem, i byłbym wypuścił z rąk
skrzypce; a
śmiech jego brzmiał w mojej duszy jak śmiech potępieńca.
— To waryat! odezwał, się. przybyły

pokazując na mnie palcem; a tłum, który mi poklaskiwał przed chwilą
uwierzył na
jedno słowo nieznajomego, i jeden po drugim powtarzał to straszne
słowo: waryat!
— Zabił dziecko, i żonę zabije! dodał obcy, a tłum znowu powtórzył:
— To waryat! do szpitala z nim, do szpitala!
— Weźcie mu te skrzypce! rzekł jeszcze raz trzeci czarny człowiek,
co jak zły

duch stojąc przedemną, pastwił się i szydził z mojej boleści: w nich on
zamknął
duszę ojca i duszę dziecięcia swego, dla tego to umie grać tak pięknie.
Tłum się rzucił ku mnie chcąc mi odebrać skrzypce, które były moim
ostatnim
skarbem na ziemi.
Natchniony rozpaczą bronilem się wściekle; tłum mnie naciskał, jedną
ręką
chroniąc moje skrzypce aby mi ich niewydarto, drugą porwałem
stołek stojący w
szynkowni i wywijiałem nim pod nad głową;

nareszcie walcząc jak lwica wściekła broniąca swoich dzieci,
dopałem drzwi i
dostałem się na ulicę.
Nikt już niegonił zamną; mnie się zdawało, że słyszę tuż za sobą kroki
biegnącego człowieka, obróciłem się, już mi sił nie stało uciekać
dalej; w tem
przy świetle księżyca ujrzałem jakąś postać opartą o mur, poznałem że
to była
kobieta, błagającym głosem odezwała się do mnie.
— Przez litość! dajcie jałmużnę mego dziecięcia, bo umrze z głodu!
Cisnąłem jej wszystkie pieniądze które miałem w tej chwili, uzbierane
za grę;
moją w szynkowni. Boże!... Boże!... któż pojmie, kto zrozumie, co się
działo w
mej duszy?... kobietą wołającą o jałmużnę była Marya matka mego
dziecięcia.
Rzuciwszy jej jałmużnę chciałem uciekać, bo mnie zły duch gonił, bo
czarny
człowiek, którego widziałem w szynkowni

powolnym krokiem zbliżał się do tego miejsca, jak duch przesuwał się po ziemi.

Marya, która mi się nieprzyopatrywała przed tem, w chwili gdy jej dawałem jałmużnę spojrzała na mnie i poznawszy, głosem rozdzierającym serce zawołała;

Juliusz! Juliusz!

Potem trzymając dziecko na ręku poczęła uciekać w tę stronę, z której przyszedłem. Lecz gdy postać czarna zbliżyła się do niej, wyciągając ręce ku

niej zawołała: mój ojczu! mój ojczu! i bez czucia upadła na zimne kamienie.

Dziecko poczęło krzyczeć żałośnie

Obcy niezatrzymał się nad nią i szedł ku mnie; chciałem uciekać, dogonił mnie,

schwycił za ramie i zatrzymał mówiąc: — Nikczemny, twoja żona umiera z głodu, a

ty nieponiesiesz jej ratunku!

Spojrzałem na twarz jego teraz oświeconą księżycem, kapelusz spadł mu z głowy,

wiatr rozwiewał z czoła długie cie-

mne włosy; i poznałem, kogo, widmo upiora.

Przeżegnałem się. On zrozumiał mój przestach i rzekł do mnie:

— Próżna twoja obawa, nie jestem duchem jestem tylko bratem ojca Maryi;

dowiedziałem się ojej nieszczęściu, przybyłem tu, ścigałem za tobą, aby cię

naprowadzić na drogę obowiązku i cnoty. Teraz powróć do twojej żony, ona

potrzebuje ratunku, pamiętaj, że nad tobą czuwam.

I zakrywszy się czarnym szerokim płaszczem zniknął; a ja poszedłem ku miejscu,

gdzie zostawiłem Maryą zemgloną. Nie zastałem jej tam, otrzeźwiła się sama, bo

ją płacz dziecka przebudził i powstawszy, wolnym krokiem wróciła do domu.

Pobiegłem za nią, alem jej dogonić niemógł.

Powróciwszy do domu ujrzałem światło w mojem pomieszkaniu;
otworzyłem drzwi

i zastałem tam Maryą siedzącą nad kołyską dziecięcia, które było
bardzo chore i
niemogła go uspokoić.

Gdy wszedłem niepodniosła głowy, jakby niespostrzegając mego
powrotu,
przeciągłym, smutnym głosem nuciła następującą piosenkę:

Ogródek moją ręką sadzony
Miałam, w nim pełno lilii i róż,
Taki był śliczny, taki zielony
Ale w nim kwiatki powiędły już.
Jeden mi kwiatek został na świecie,
Z kwiatów najdroższy, to moje dziecię!
O rośnij rośnij kwiatku kochany, życia rozkwitaj mi!
Gdy ręką śmierci zwiędnie zerwany,
Któż żal utuli, otrze me łzy?

Poruszyła kołyskę, a dziecko przestało płakać, uspokoiło się na głos
matki i tej
piosnki. Zbliżyłem się do ujrzało na nowo płakać poczęło. Marya
niezważając na
mnie

wcale, chcąc uspokoić wzruszenia własnego serca, czy też uspić
płaczące dziecko,
zanuciła drugą zwrotkę ułożonej przez nią pieśni:

Miałam gwiazdeczkę na niebie jedną:
Dziś jakże ciemno i smutno tam!
Gdy spojrzę w górę wnet wszystkie bledną,
Lecz tu na ziemi gwiazdeczkę mam.

A tą gwiazdeczką jest moje dziecko!
O to najdroższa na całym świecie
Świeć mi, ach świeć mi gwiazdko jedyna,
Bo jak mi zgaśniesz światło kochane,
To taka ciemna przyjdzie godzina,
Że się na drogę już nie dostanę,
I zbłąkam pośród nocnej ciemności,
Nie widząc więcej na niebios tle
Tej gwiazdki, której promyk w młodości
Drogą najświętszą prowadził mnie

Widząc, że dziecko coraz spokojniejsze zdawało się zasypiać, Marya
chcąc ukoić
je zupełnie śpiewała dalej; lecz nagle spojrzawszy na twarz dziecięcia
zadrzała
wi-

dząc zmieniające się jego rysy, drżenie ust i gwałtowne poruszenia
muszkułów.

Jednakże nie przerywając swojej pieśni, śpiewała dalej, tylko na inną
nutę

smutniejszą i tak pełną boleści, że w połowie tej pieśni zalany łzami,
niemogąc

"przec się dłużej silnemu wzruszeniu, zbliżyłem się do niej i
ukłękłem, a

przyciskając do ust jej rękę, najtkliwszym przemawiałem głosem,
mogąc zaledwie

te. tylko wymówić słowa:

— Maryo, Maryo, niech ta chwila będzie chwilą pojednania. Maryo!
dotychczas

zaniedbywałem cię i dziecko moje, lecz dziś wyrzekam się nanowo
i nazawsze

już muzyki, przysięgnę ci to w obec Boga!... Maryo, czy uwierzysz
mojej

przysiędze?

— Tyle razy przełamanej"? szepnęła Marya. O! dobrze, dobrze
Juljusza, niech ta
chwila będzie chwilą pojednania, bo mogłabym bez tego zostać na
świecie

sama i nieszczęśliwa, po stracie tej istoty która mi tyle jest drogą... O!
wiesz

mój Juljuszu, że jabym umarła, gdybym naraz miała dziecko i ciebie
utracić;

teraz wiem, że gdy ono umrze, ty mi pozostaniesz jeszcze!

Upadłem przed nią na kolana, przyciskając do ust jej ręce, gorącemi
oblewałem je

łzami.

Niepomne nawet jakie słowa, jakie przyrzeczenia, jakie przysięgi
wymawiałem w

tenczas; niezawodnie jak zawsze złamałem je potem po tysiąc razy.

Marya

przemówiła do mnie.

— Czy pamiętasz Juliuszu dzień śmierci mojego ojca i chwilę jego
skonania"?

Zadrżałem na te słowa, bom przypomniał wyrzeczoną w tym dniu
przysięgę, złamaną

potem, i sen owej nocy, który już w połowie się sprawdził.

— O Maryo, Maryo, odrzuć te smu-

tnie wspomnienia, ja nigdy już grać niebędę! przysięgam ci to!,

— Cofnij swoją przysięgi, niechce. jej teraz... Juljusza! Juljuszu! ja cię
sama

proszę o to, graj! w tej chwili błagam cię!

I upadła przedemną na kolana.

— Patrz moje dziecko umiera, może zatrzymasz jego duszę, może
obudzisz zanim się

w śnie śmierci pogrąży!

Spojrzałem na kolebkę; światło dogasającej lampy oświeciło twarz
dziecięcia
wykrzywioną konwulsjami. Marya powtórzyła swoje błaganie!
Porwałem skrzypce. W tej chwili lampa zgasła, i wszystkie naraz
struny pękły za
pociągnięciem smyczka, a w moich uszach zabrzmiały straszne słowa
sennej
przepowiedni: zapóźno! zapóźno!
Marya uklękła nad kolebką i załamywała ręce; ale ani jednym jękiem
niewydała
swojej rozpaczy. Ja stałem trzyma-

jąc skrzypce w rękę, jak posąg bez ruchu i myśli.
W tem zdało mi się, że jakiś płomyk niebieskawy wyleciał z ust
dziecięcia
płynąc, płynąc zbliżał się do mnie. jak gdyby dusza maleńkiego... I
potem
ciemność otoczyła nas w około, a ja zamknąłem oczy jakimś
nieziemskim owiany
tchnieniem, i zdawało mi się, że Słyszał szelest przelatującego
nademną anioła
śmierci.
Niebędę szczegółowo opisywał wszystkich okoliczności dotyczących
pogrzebu.
Ów nieznajomy, którego widziałem w szynkowni był rzeczywiście
bratem ojca Maryi,
a nadzwyczajne pomiędzy braćmi podobieństwo usprawiedliwiało
mój dziwaczny
domysł. On to powróciwszy z dalekiej podróży, dowiedziawszy się o
śmierci brata
i o losie synowicy, czuwał nad' nią, i opiekował się Maryą,
niewidomą.

ręką udzielając jej wsparcie i obsypując dobrodziejstwami.

Jak upłynęły nam pierwsze tygodnie po śmierci dziecięcia nie
zdołałbym opisać
także, i daremnie rozdzierając serce musiałbym chyba krwią moją
zapisać te
karty. Marya zamiast rozpaczać i płakać, ani jednym jękiem, ani łzą
nawet
niewydała swojej boleści; lecz pogrążona w niemem osłupieniu,
nieruchoma i
blada, całe przepędzała godziny nad próżną kolebką dziecięcia.
'Doktor powrócił niedługo, i dowiedziawszy się o wszystkich
okolicznościach i
wypadkach z dni ostatnich, pilnie począł badać stan umysłu Maryi, i
pewnego razu
z żalem oświadczył mi, iż się obawia aby to niebyła czarna
melancholia.
Niestety sprawdziło się domniemanie jego.
Marya od śmierci dziecięcia zmieniła się widocznie, wychudła i
zbladła, a z
dawnych wdzięków i urody pozostały jej

tylko czarne, wielkie oczy, w których jeszcze ostatek przechował się
życia:

resztę uczucia pogrzebała w trumnie dziecięcia Pewnego dnia
zastałem ją siedzącą
w tej samej postawie, w jakiej wychodząc przed kilką godzinami ją
zostawiłem. Na
kolanach trzymała skrzypce moje, i pieściła się z nimi jak z
dziecięciem,
kołysząc, i całując zimne drewno instrumentu.
Zadziwiłem się, i łza mi się stoczyła po licach; zbliżyłem się do niej i
spytałem co to znaczy.
— To jest moje dziecko! rzekła, w jest dusza mego dziecięcia, ja jej
pilnuję i
czekam aż się obudzi, i przemówi do mnie.
Opowiedziałem to doktorowi, wpadł na myśl dziwną, którą mi
powierzył; radzili

mi, abym Maryi zagrał kiedy na skrzypcach, mówiąc, że
jakimkolwiek sposobem
potrzeba przebudzić w niej czucie i że ma nadzieję wyleczyć ją
jeszcze

— Melancholia, rzekł, trudniejszą jest do wyleczenia niż szaleństwo
lub
obłąkanie; jak w drugich całe zło jest w nazbyt wygórowanem
działaniu serca i
mózgu, tak przeciwnie w melancholii serce i umysł są jakby
sparaliżowane, i
lękać się trzeba, aby osoba chora nie wpadła w letarg bezczucia, który
ludzie
prości głupotą zowią.
Usłuchałem rady doktora, i raz zastawszy Maryą bardziej skłoną do
przebudzenia
w jej sercu jakich wrażeń, wzięwszy skrzypce, w których od dnia
śmierci
dziecięcia pozrywane były struny, nawiązawszy nowe, zagrałem
ulubioną jej
niegdyś arją z Łucyi.
Marya z początku słuchała z uwagą; lecz potem zbladła niezmiernie,
poczęła
drzeć, i skoczywszy ku mnie z ściśniętymi pięściami zawołała:
— Morderco! zabiłeś moje dziecko mnie chcesz zabić... O! pomnę,
pomnę

ja dobrze ten śpiew, tg nutę; to nuta nieszczęścia! to śpiew, którym
przebudziłeś miłość w mem sercu, aby je zabić potem, zakrwawić, i
poczernić, i
wydrzeć mi z duszy wszystkie najświętsze uczucia. Precz ztąd, precz
morderco,
przeklinam ciebie, i skrzypce twoje! tyś zabił mego ojca i dziecko; na
nich

wygrałeś hymn pogrzebu. Chciałeś jeszcze zamknąć w tych
skrzypcach duszę
dziecka, wydarłeś ją aniołowi śmierci, który ją miał zanieść do nieba,
zamknąłeś
tu... ale ja znajdę sposób... patrz, wypuszczę ją na wolność;... lepiej
żeby
była w niebie, niż pod mocą twoją, zaklęta w tym instrumencie,
rozbiję go na
kawałki, aby uwolnić duszę mego dziecka!
To mówiąc wydarła mi z rąk skrzypce i rzuciła je na ziemię, uderzając
w nie
nogami;... a rozbite skrzypce wydały jeszcze jęk ostatni, jakby na
prawdę dusza
dziecięcia w nich mieszkała, i teraz opu-

szczając je ostatnim jękiem pożegnania odzywała się do mnie.
Rzuciłem się ku Maryi uniesiony rozpaczą: ona raz jeszcze podniosła
rękę do góry
i po trzykroć wymówiła: przeklęty! przeklęty! przeklęty!
Te słowa brzmieć będą w mej duszy aż do końca życia..
Niewiem co się stało zemną potem, upadłem bez czucia, zdaje mi się,
żem przez
chwilę był w grobie, utraciłem rozum, pamięć. Gdym wrócił do
zmysłów, gdym
spojrzał na świat przez żelazną kratę mego okienka, ujrzałem ludzi
wesołych i
szczęśliwych, i słońce w całym blasku świeciło rozrzucając na ziemię
swoje złote
promienie... dla mnie tylko była noc, noc wieczna i bez końca, a
uniesiony
boleścią wołałem przez kratę błagając aby mi oddano skrzypce, moje
skrzypce
potłuczone, abym na nich mógł wy-

grać ostatni śpiew rozpaczony przed ludźmi i przed Bogiem.
A w uszach moich brzmiał wciąż ten jeden wyraz: waryat! waryat! i
jak dalekie
echo, niby odległe wspomnienie odbrzmiewały mu w duszy
wyrzeczone przez Maryą
słowa: przeklęty! przeklęty! przeklęty!
Z początku uniesiony wściekłością porywałem się na moich
dozorców, którzy
niewierzyli, że jestem przy zdrowych zmysłach.
Co się stało z Maryą nie wiem wcale...słyszałem tylko... o! ja
niewierze, temu,
że w owym dniu straszliwym dopuściłem się gwałtownego czynu, że
uderzyłem Maryą,
że stałem się przyczyną jej śmierci... lecz niewierzcie temu,
niewierzcie, W
kochając ją mógłżebym to uczynić?... zresztą któż wie, moje na
prawdę jestem
waryatem, może w obłąkaniu i szale do puściłem się tego, o co mnie
obwiniają.

Boże! mój Boże!... więc ja naprawdę jestem szalony!... Przywiążcie
mnie
łańcuchem, bo się rzucę, i rozbiję głowę moją o kraty! Na tem
skończył, i
uniesiony boleścią rzucił się, i szarpnął łańcuch przywiązujący go do
ściany, i
znowu wołał głosem rozpaczony i błagania, powtarzając raz po raz te
słowa tylko:
skrzypce! skrzypce!
Doktor i zakonnik, którzy mnie przed chwilą wpuścili do celi, nadeszli
na krzyk
i śpiesznie otworzyli mi drzwi, obawiając się abym niewpadł w ręce
waryata i
niedoznał jego wściekłości.

Opowiedziałem im po krótkce historią nieszczęśliwego skrzypka,
wstrząsnęli
głowami dziwiąc się, że tak wielką ważność przywiązywałem do
opowiadania
waryata. Prosiłem doktora aby uczynił zadość mej prośbie i żądaniom
Juljusza; z
początku odmówił mi, potem zastanowiwszy się nad mojem
opowiadaniem rzekł do
mnie.:

— Spróbuję jeszcze tego sposobu, ale dziś już późno, odłożymy to na
jutro.

Pożegnałem go prosząc, aby nazajutrz pozwolił mi być obecnym
temu: z chęcią
przystąpił na to, a ja smutny i zamyślony powróciłem do domu.
Przechodząc przez Nowy Świat ujrzałem czarną trumnę wystawioną
przed bramą domu,
obok którego mieszkałem; kilkoro ludzi zebrało się przy niej i
rozmawiało dosyć
żywo, a lubo niestarałem się przysłuchiwać opowiadaniu, kilka
wyrazów
połyszanych przypadkiem zaostrzyło moją ciekawość.
Zbliżyłem się i spytałem: kto umarł.

— Żona muzykanta, rzekł jeden z obecnych, żona waryata,
czarownika, który
zamykał w skrzypcach dusze ludzkie; toć cała Warszawa wie o tem, a
jegomość z
przeciwka nie miałby wiedzieć? Rzecz dziwna, że tak blisko
mieszkając, ani słowa
niewiedziałem o tem aż do

dnia dzisiejszego, w którym z ust samego muzykanta dowiedziałem
się o

wszystkiem. Tak to się dzieje w wielkich miastach, gdy w jednym domu umiera nieszczęśliwy, w drugim bawią się i tańczą niewiedząc nawet o tem. Chciałem sprawdzić opowiadanie Juljusza; zupełnie zgadzało się z tem, co usłyszałem od jednego z mieszkających w tym samym co on domu. Marya skutkiem gwałtownego uderzenia, które w uniesieniu i rozpaczy zadał jej Juljusz zachorowała, i to, było przyczyną jej śmierci. Ciekawy byłem zobaczyć umarłą, i po ciemnych schodach wbiegłem na pierwsze piętro, gdzie według opowiadania Juljusza było jego pomieszkanie. Drzwi były otwarte, wewnątrz na łożu okrytem czarną zasłoną leżała Marya blada i bardzo zapewne zmieniona, bo ani śladu niepozostało dawnej piękności,

o której wspominał Juljusz. Wielka rana na lewej skroni, której niezastłaniały włosy dała mi poznać, że niezawodnie uderzenie było przyczyną jej śmierci, potwierdziła to, co mi mówiono. Oburzyłem się przeciw Juljuszowi, zajęcie jakie miałem dla niego przeminęło, bo on rzeczywiście był zabójcą żony I przysłała mi na myśl śmierć ojca Maryi i śmierć jej dziecięcia, której on także był powodem; i już teraz obwinałem go o potrójne zabójstwo, a nawet wyrzucałem sobie, że tak mocno zająłem się nieszczęściem człowieka, który przez zamiłowania sztuki tyłu nieszczęść stał się sprawcą. Kilka świec paliło się w pokoju, nikogo niebyło przy zmarłej, prócz jednego

tylko człowieka, który siedział wsparty na dłoni i nawet niezwrócił
uwagi na
moje przybycie.
Z uczynionego mi opisu poznałem na-

tychmiast doktora, o którym tyle razy w opowiadaniu swem Juljasz
wspomniał.
Wzruszyły mnie smutek i boleść jego, i spojrzałem na tego człowieka
w pełni
życia i zdrowia, którego twarz i czoło wczesnymi zorane
zmarszczkami, dawały
poznać ile cierpień zniósł w krótkim jeszcze życiu, z przyczyny
niedzielonej
miłości, a włosy jego w ostatnich dniach posiwiały nieco, i miejscami
odstłoniły
szlachetne i wyniosłe czoło. Żal przejął mi serce, lecz ani jednej łzy
niemogłem
uronić. Są chwile, że łzy byłyby bluźnierstwem, serce tak zaboli, że i
płakać
nie można.
Uklękłem przejęty smutnymi myślami, i modlić się nawet niemogłem;
aż łoskot
zbliżających się kroków przebudził mnie z tego smutnego stanu.
Wniesiono trumnę, położono w niej umarła...
Prawie, nie wiem, co się wokoło mnie

działo potem, aż uderzenie młotka wróciło mi przytomność, myśl,
czucie: zabijano
trumnę! Spojrzałem na doktora, on spojrzał w niebo, jakby mówił, że
tam z nią
jeszcze spotka się może, potem na krzyż z wizerunkiem Zbawiciela
wiszący na

ścianie, jakby w Religii pragnąc czerpać siły do zniesienia ostatniego ciosu.

Wyszedłem za trumną, doktor szedł za nią także — pieszo — po błocie; gdy inni szli sobie prosto, wygodnie, tretoarem, nucąc żałobną pieśń pogrzebu. Rzuciłem garstkę ziemi na trumnę zmarłej, doktor toż samo zrobił; potem tłum się rozszedł, powrócił do domów; on został jeszcze i długo modlił się na grobie... a powoli, powoli łzy wypłynęły na blade jego lica. — Umarła, rzekł cichym głosem, Bóg mi ją zabrał, niech się stanie jego święta wola! ale ludzkość żyje, dla niej, dla bliźnich moich żyć powinienem! Boże, dodaj mi siłę, abym w zupełnym poświęceniu

się dla ludzkości znalazł to szczęście, jakiegom próżno szukał w miłości kobiety!

Odtąd niewidziałem go więcej. Spełnili owe poświęcenia, do których się gotowałem, lub czy je spełnia jeszcze; niewiem; lecz modlą z duszy, aby więcej było podobnych jemu, tak świętą jak on miłością bliźnich natchnionych. Czy Bóg wysłucha moją modlitwę?... O! niewątpię, i z całej duszy wierzę temu!

Nazajutrz po pogrzebie Maryi tak mocno byłem przejęty wrażeniami dnia poprzedzającego, że zapomniałem wcale o godzinie naznaczonej do odwiedzenia Juljusza. Tydzień już upłynął, gdy pewnego dnia spotkałem się z znajomym mi doktorem; opowiedział mi koniec powieści, który tu dosłownie kładę przed, im

— Do godziny -ej wieczór, rzekł, czekałem na ciebie; a gdy
nieprzyszedłeś w
oznaczonym czasie wpadłem na myśl,

że zapewne wyszło ci to z pamięci lub odmieniłeś twój zamiar, gdy
pierwszy zapal
i wzbudzone w tobie opowiadaniem waryata zajęcie minęło. Jednakże
pragnąc
przekonać się, jaki wpływ wywiera muzyka na innych obłąkanych,
przyniosłem z
sobą skrzypce, i udałem się z niemi do celi waryata pod Nr. , wiedząc
że był
niegdyś muzykiem, i że grał dobrze na skrzypcach, ciekawy byłem
usłyszeć go
grającego, zachęcony twojem opowiadaniem, które tyle dziwnych
łączy w sobie
wypadków.
Już było ciemno, kiedy wszedłem do jego celi.
Siedział na łóżku z głową zwieszoną na piersi; światło wiszącej na
korytarzu po
za kratą latarni oświecało twarz jego bladą i znękaną, nie podniósł
nawet oczów,
kiedy wszedłem, i musiałem go przebudzić z tego zamyślenia,
uderzając zlekka po
ramieniu.

Podniósł oczy i niespokojne zwrócił na mnie spojrzenie.

— Czego chcesz? zapytał zmienionym głosem, niejestem waryatem,
idź sobie precz,
i daj mi pokój.

— Przynoszę ci skrzypce, rzekłem. — Zapóźno już, zapóźno!
wszystko skończyło się
dla mnie; miałem sen tej nocy, ona już umarła, widziałem jej ducha;
ale mi

przebaczyła i odwołała swoje przekleństwo; dla tego tak jestem spokojny;

niedługo może będę, szczęśliwy i cierpieć przestanę.

Potem wziął z rąk moich skrzypce i rzekł:

— Nie jestem Paganinim, abym ci mógł grać jak on na jednej tylko strunie.

— Są wszystkie, czyliż niewidzisz tego?

— Jedna już tylko do mnie należy, i na tej mi się grać samemu niegodzi; gdybym

ją zerwał, pękłyby razem z nią ogniwa wiążące mnie z ziemią, a to nie nale-

ży do mnie, lecz do Boga; inne już się na nic nie zdadzą i żadnego nie wydałyby

dźwięku, grałem na nieb i pękły

To mówiąc zrywał po kolei struny, została tylko czwarta, ostatnia.

Zabiłem ojca, żonę i dziecko: oto były trzy struny ich życia, pękły już; patrz

to ja sam je zerwałem; ostatnia jest moja struna; gdy i ta pęknie, ja żyć przestanę.

Oddał mi skrzypce i jeszcze rzekł do mnie:

— Teraz idź precz, i nienudź mnie więcej, a jak ta struna się zerwie, przyjdź

wtedy, moje przeznaczenie się spełni.

Odwrócił się twarzą ku ścianie i położywszy na łożu udał śpiącego, a ja ani

słowa już więcej wybadać zeń niemogłem. Powróciłem do siebie, i oto cała moja

powieść. Zdaje się, że wróci do zdrowia, i będzie go jeszcze można wyleczyć z

szaleństwa; jest teraz cichy i pokorny, i ani razu niesłyszałem odtąd, aby się

więcej

domagał skrzypców, które to żądanie było najprawdziwszym dowodem jego szaleństwa. Cóż myślisz o tem?
— O! daj mi, daj te skrzypce, zapłacę ci za nie na wagę złota; rzekłem, oddam ci dziesięć lat życia mego za nie, tylko mi je daj; bo ty nie wiesz, ty nic nie czujesz, czego niedojrzysz gołemi oczyma.
— A weź że je sobie, mój kochany, i daj mi święty pokój. Myślisz żebyś mi łaskę uczynił dając lat życia, jeszcze życia takiego jak twoje, w marzeniach i poezji, którebym niezawodnie w szpitalu waryatów przepędził. Przyslej do mego pomieszkania, a dam ci te skrzypce; tylko uważaj pilnie na czwartą strunę a jak się sprawdzi przepowiednia waryata to dopiero uwierzę twojej filozofii.
Pobiegłem sam za doktorem i wziąłem

skrzypce, które zawiesiłem na ścianie po nad łóżkiem mojem Niedawno w nocy przebudziłem się na dźwięk głuchy, który wydała jakby zerwana struna. Zapaliłem co prędzej świecę, i obejrzałem skrzypce; nietylko struna czwarta była zerwana, ale i deka przez środek pękła. Niemogłem już zasnąć, i niespokojny oczekiwałem dnia. Nazajutrz zaledwie ubrałem się, wybiegłem na miasto; lecz nieśmiałem dowiadywać się u doktora, aby niewystawić na pośmiewisko przepowiedni Juljusza, gdyby żył jeszcze.
Wieczór doktor przyszedł do mnie i rzekł:
— O godzinie w nocy umarł; a coż czy się sprawdziła przepowiednia?
Pokazałem mu skrzypce, potrząsnął głową, ale nieuwierzył

— Wiele jest dziwów, o których nic śniło się nawet filozofom naszym, rzekł do mnie słowami Szekspira; ale i filozofia kłamie (dodał śmiejąc się szyderczo,) lecz nieśmiał już zbijać mego zdania, mając dowód przed sobą, rozbite skrzypce i zerwaną strunę..
Obadwa pograżyliśmy się w myślach, ciemność nas otoczyła, zapomniałem nawet zapalić świecy, i on także mocno się zadumał.
W tem spojrzawszy przez otworzone okno, błędząc okiem po niebie, natrafiłem jedną gwiazdkę, i przeczuciem czy samowolnie wybrałem ją sobie, mówiąc: to jest gwiazdka mego przeznaczenia, ona mi wtem życiu przyświecać będzie, a gdy zgaśnie i ja żyć przestanę.
Odgadł moje myśli, czy podsłuchał słowa wyrzeczone z cicha i rozśmiał się na wpół głośno: on zawsze szydził z mojej poezyi i z marzeń moich.

— To więc jest twoja gwiazdka!.... lecz któż będzie ścigał za nią wzrokiem i kogo to obchodzić będzie, że ta gwiazdka świecić przestanie?
— Prawda! rzekłem z goryczą, tem bardziej więc pragnę aby zgasła, kiedy ni kogo niema coby ją ścigał swym wzrokiem.
— Biedny, biedny marzycielu! rzekł on, pokazując mi księżyc, który w tej chwili z za chmur wypłynął, któż na tg gwiazdę zważać będzie kiedy druga taka wielka

świeci... a cóż dopiero, kiedy i słońce zabłyśnie, promień twej
gwiazdki zginie
w niebieskiej światłości stoku.
Bądź zdrów!
Uścisnął moją rękę i wyszedł. Uczułem że w jego słowach była
większa poezya niż
w moich marzeniach, i powróciłem do ziemi; bom poznał, że człowiek
niepowinien
się błąkać myślą za gwiazda-

mi, lecz w słońcu kapać swe skrzydła, i płynąc po niezmiernej życia
przestrzeni,
wlewać w serca bliźnich światło nauki i zasady miłości.

LUTNISTA.

LUTNISTA

Na zamku hałas, wrzawa; za stołem
Siadł wojewoda w panów drużynie,
Panowie bracia usiedli kołem
Szlachta się pali, a węgrzyn płynie.
Krażą kielichy z ręki do ręki.
Ależ nie samym chlebem człek żyje,
A kto wesoły — ten wino pije,
A komu smutno — to chce piosenki!
I tu choć wrzawnie, lecz w serca głębi
Jest coś co zapał radości ziemi.

Więc wojewoda znak dał: do sali
Wszedł młodzian w rękę trzymając lutnię,
I dzwoniąc w struny, zanucił smutnie,
A goście pijąc pieśni słuchali;
Aż pieśń ich słodko ukołysała,
Bo nową w serce pociechę wlała.

I wojewoda rozchmurzył lica,
Ale nie wino pokój mu dało,
Oto na salę weszła dziewczyna,
Piękna jak anioł, ubrana biało.
Jej szyjka śnieżna jak lilja w maju,
Na ustach róże dwie rozkwitają,
W jej oczach safir; jak krople rosy
Dwie na nich łezki z pod rzęs jaśnieją;
Lica uśmiechem szczęścia się śmieją;
A z ramion czarne spływają włosy.
Pierś się kołysze pod szatą cienką,
Snać już miłości sercem pożąda;
Dwoje aniołków z ocz jej wygląda.
O! komu ona chętną da ręką
Pierścionek ślubny, i ślubny wieniec,
Kto miłość w sercu dziewczycy zbudzi,
Ten najszczęśliwszy z pomiędzy ludzi,
Ten najszczęśliwszy w świecie młodzieniec!

Jeżeliś marzył piękność anioła,
Jeżeliś kiedy widział go w myśli,
Jeśli przynajmniej dusza wywoła
W snie obraz taki, co się nie kreśli,
Co się nie spotka nigdy na jawie,
O! ja ci powiem: zawsze i wszędzie,
Obraz odbiciem nawet nie będzie

Tych wdzięków, które znajdziesz w Wisławie.
Szesnasta wiosna dla niej upływa;
Ale jej dusza wcześniej dojrzała,
A dusza piękna, niewinna, tkliwa;
Jakby z świętymi przyjaźń zabrała,
I od nich innym tchnieniem pojona,
Boskiej świętości czarem przejęta,
Sama wśród ludzi błogosławiona,
Sama bez grzechu była jak święta.

O! wojewoda córę też trzyma,
Jak złote ptasze w zamkniętej klatce:
Ona obliczem podobna matce.
Dla niego szczęścia większego niema,
Jak patrząc w lica dziewicy cudne,
Czytać w nich piękność nieboszczki żony,
Nieraz tak patrząc w mą zachwycony.
W rozkoszne chwile przemieniał nudno.

I tak ten skarb swój starannie pieści,
Że każdą bez niej chwilkę obrzydzi,
A gdy Wisławy przez dzień nie widzi,
Za nią z tęsknoty schnie i boleści.
A jeśli znowu chmurą mu lica,
I troską kiedy przybierze dusza,
Widok jej serce zbolełe wzrusza,
Uśmiech na usta niesie dziewica.

Tak i w tej chwili był smutny: — ona
Spędziła chmurę, radość z ocz błyska.
Ojciec dziewicę tuli do łona,
I jak kochankę córę swą ściska.,
A Dymitr śpiewak patrzył milczący,
Z niemą zazdrością okiem ich gonił,

Niby nie chcący w struny zadzwonił;

Aż strun trzy w lutni zerwał nie chcący.
— "No, odejź chłopcze!" rzekł wojewoda.
Wstał Dymitr, odszedł, usta mu zbladły,
A z oczu na twarz dwie łzy upadły.
Lecz nie widziała dziewczica młoda;
Lecz ojciec kiedy podniósł wzrok w górę.
Spotkał Dymitra wzrok łak straszliwy,
Że w ustach wyraz ostygł mu tkliwy,
Lica się w czarną powlekły chmurę.

Oto wieczorne wstają tumany,
W mglisty się całun kładą po błoniu;
Jeździec na szybkim harcuje koniu,
Koń czarny, jeździec czarno ubrany,
A z nozdrzów konia ogień wypryska,
A z oczów jeźdźca płomień się leje.
Wicher jak szatan w stepie się śmieją,
A po niebiosach kłębią chmurzyska,
Snać jakiś śmiałek, co w noc tak jeździ!
Oj! nieżał jeźdźca, lecz żał rumaka,
On. pędem wichru, on lotem ptaka
Mknie się jak sęp, co w górach się gnieździ,
Mknie po czacharach, ostach i wrzosach,
Noc ciemna! miesiąc tylko z chmur świeci.

Kilka się błąka gwiazd po niebiosach,
A jeździec w stępy jak upiór leci.
Aż znowu miesiąc niknie z gwiazdami,
Rosa perłami padła na trawie,
Chmury jak siwe ciągną żurawie,
A koń i jeździec pędzą z wiatrami.
Czy jemu nie strach, czy z czartem trzyma?

Człek się po nocy w podróż nie puszcza,

A tu ni drogi, ni ścieżki niema,
Niebo nad głową, a w koło puszcza!
Dzika to roszkosz! ot gdy masz w duszy,
Trochę kłopotu, lub troski wiele,
Puść się w step, kiedy wiatr świszczę w uszy,
I gdy się piorun u stóp twych ściele;
Kiedy ci burza studzi pierś w zimnie,
A ty jak szatan z wiatrem się gonisz;
O! to poezya! ty piosnkę dzwonisz,
A tu ci burza w tóruje w hymnie.

Jemu niemiło, choć step przestrony,
Widać na serce ciężko on bolny,
Oto jak sokół z klatki puszczoney,
W ojcystym stepie buja tak wolny,

A jakiś ciężar pierś mu przyciska.:
Co spojrzy w niebo — to gwiazdy gasną;
Nawet tu jemu jeszcze za ciasno,
Jakby się na pierś kładły chmurzyska.
Pogładził czoło, pomuskał wąsa,
I łza spłynęła na blade lica,
Łzę otarł z oka, deszcz z burki strząsa,
Została tylko w sercu tęsknica.

Co ci Dymitrze, co ci młodzieńcze,
Czy ci już piewcą naszym być nudno,
W czym że to cierpisz, biedny szaleńcze,
Że tak się kryjesz w puszcze bezludną?
Czy ci mirtowy udał się wianek,
A w śmiałą dłoń go niemożesz dostać?
O! lepiej w stepie było ci zostać,
Niżeli w pałacach szukać kochanek!
Oto weź lutnię — uderz nam w strony,

Piosnka kochanka, dumka siostrzyca,...
Ona tak serce i duch zachwyca,
Ani też zdradzi. A tyś szalony,
W jedną dziewczynę zatopił oczy,
I całym sercem przylgnąłeś do niej:
Miłość jak robak serce nam toczy,
Eh! porzuć miłość, i nie myśl o niej!

Bo komu niebo duch wieszczy dało,
Kto stworzon, żeby ludzi zachwycać,
Nie warto lada cacko pochwycać,
I swoją szatę zabrudzić białą.
Ten oto pieśnią z niebem rozmawia,
A ludziom skarby swoje rozkłada,
I tajemnice święte objawia,
Które sam we śnie natchnienia zbada.
Bo komu Pan Bóg udzielił kluczy,
Żeby się myślą do nieba wdzierał,
Ten się — ot jak ptak po ziemi włóczy,
Gdyby posłaństwo swoje zapierał.
Temu nie miłość świecka na myśli,
Ten duszę z duszą braci ożeni,
I przeszłe czyny w oczach im kreśli,
I złote ziarna w sercach rozpleni.
A chcesz li zbierać kłosa dojrzałe;
To ci z lauru wieniec spleciemy,
I twoją wieszczą skroń uwieńczemy,
I będziem twoją rozgłaszać chwałę.

Chociaż ta niwa dziś prawie pusta,
I nieraz ziarno na piasku zgnije;
Chociaż niewarto otworzyć usta,
Jeśli nie słucha ucho nieczyje;

Ależ i dzisiaj słuchać jest komu.
A choćbyś jak cień zniknął bez wieści,
O! lepiej upaść od burzy gromu,
Niżeli wędnać i schnąć z boleści,
Albo w objęciach zasnąć dziewczyny;
Lepiej że laur na grób zaszczepią,
Niż kiedy do twój trumny uczepią
Jaką nikczemną gałąź kaliny.

Nie słucha Dymitr i pędzi dalej,
Ha! gdyby w piekło — to się nie wstrzyma.
Bo komu miłość serce rozpali,
To i pokoju, i szczęścia niema.
O! bo syn stepu gorąco czuje,
I on ma serce, a jak w wulkanie
Krew się w niem burzy, kipi, wiruje,
Jemu ból także dolega w ranie.
Wypuście źrebie, co w stepie wzroście,
A zaraz na wiatr rozpuści grzywę,
Za stadem goni wnet niecierpliwe,
I pryska ogniem, i rży radośnie.
Albo też orła puście z więzienia,
A wnet wyleci szukać orlicy,
Tak samo młodzian szuka dziewczicy,
Płomień drugiego szuka płomienia,

Wilya Świętego Andrzeja przysła,
Do wróżb Wisława czyni przybory,
Spragniona czeka wieczornej pory,
Wcześniej do swojej komnaty wysła.
Po starą Martę zaraz wyseła;
A na usługi wiedma gotowa
Przyniosła węgla, ogień roztlila,

czarodziejskie wymawia słowa.
Naprzód stopiony воск w wodę leje.
"Cóż?" pyta dziwczę; — a Marta dumna,
Ostygły przedmiot biorąc, w głos śmieje,
Klasnęła w ręce, i rzekła: "trumną!"

Łza się stoczyła na twarz dziewicy,
Uśmiech uleciał, i znowu błysnął,
Wzrok spotkał obraz Boga rodzicy,
Tajemny smutek serce jej ścisnął.
— "Młodo mam umrzeć, Marto mówicie
Czy choć do grobu pójdę nie jedna?
Jak mi to nudne upłynie życie?"
— "Zaraz! zobaczę panienko biedna!"
I znowu Marta soki z ziół ziewa,
Z łułku, sawiny, i macierzanek;
Klasnęła w dłonie rada, szczęśliwa,
Bo dobra wróżba: "będzie kochanek!"

Dziewicy radość w twarzy błysnęła,
I myśl o śmierci, i myśl o trumnie,
Jak się zbudziła, tak i zasnęła.
— "Jak wy, umiecie, rzekła: rozumnie
Wróżyć nam przyszłe losów koleje.
Jeszczebym Marto usłyszeć chciała,
Czy się wypełnią moje nadzieje,
I czyli długo będę czekała?
Jeszczebym chciała wiedzieć nazwisko,
Które mój przyszły nosi kochanek,
I czy daleko szczęście — czy blisko,
Czyli on z sercem weźmie mój wianek?"

Dwa więc zwierciadła wróżka stawiała,
I świec dwie płonie pomiędzy niemi;

Dziewcze je ściga oczmi łzawemi,
Aż świec dwadzieścia cztery zliczyła.
I — ot w zwierciadle ujrzała zbliska
Postać Dymitra, Dymitra lica,
A z jego oczów strumień łez tryska,
Ogniem miłości płonie źrenica.
I coraz bliżej... Ona niewierzy..
Światło zagasło... blada, złęknioma
Chwieje się, chyli, powstaje, bieży,
Na pierś Dymitra padła zemglona.

I znikła wróżka; żadne z nich niewie,
Jakim sposobem z komnaty wyszła.
W krótce Wisława do zmysłów przyszła,
Z objęć młodzieńca cofa się w gniewie,
Ale jej jeszcze na myśli leży
Wspomnienie wróżby, i twarz jej płonie;
Czuie całunek; ale niewierzy,
Że młodzian na swem pieścił ją łonie.

Ależ się trzeba obudzić przecie,
Bo Dymitr przy niej, bo jego tchnienie
Pali jej piersi, serce jej gniecie,
Bo w jego ustach ognia płomienie.

Przed chwilą jeszcze tak bladą była,
Teraz na twarzy dwie róże kwitną,
Łza się z źrenicą pieści błękitną,
Z jasnych się oczów na twarz stoczyła.
"Ah! co ci, luba? Dymitr jej rzecze,
Po co ty płaczesz, gdy jesteś przymnie?
Ciebie gołąbko chowali w zimnie;
A tu z mej piersi zdrój ognia ciecze.
Jam dziś po stepie szalał z wiatrami,
Jeszcze tam koń mój na deszczu moknie;
Tylko com wrócił — patrzę po oknie,

Czy mi nie błysniesz piękna oczami.
A tak mi nudno na sercu było,
Niežnośny ciężar duszę przytłoczył,
Taki mię smutek rzewny otoczył,
Aż mi się w oczach od łez zaćmiło.
Spojrzałem w okno, — widzę zwierciadła,
I pomyślałem: coś się tam święci!
Jakoś bez woli, pomimo chęci
Podparłem okno, — szyba wypadła.
I widzę ciebie, i słyszę miłą,
Żeś po imieniu na mnie wołała,
Jakaś ku tobie pchnęła mię siłą,
A tyś w objęciu mojem zemgłała.

"O! najpiękniejsza, mozem zbyt śmiały,
Rękę po taki wyciągać wianek;
Ale nie herb to serca kochanek,
A jam się kąpał w promieniach chwały.
Zaś serce moje, — świadkiem Ty Boże,
Ze do największych poświęceń starczy,
I choć nienoszę herbowej tarczy,
O i bez tego kochać cię może!"

I teraz kiedy ciemną zasłoną,
Noc promień słońca złotego kryje,
Kiedy na niebie gwiazdy zapłoną,
Lub wieczór mgliste płaszcze rozwije.
Kiedy pastusza tylko pieśń dzwoni
W odległym gaju; gdy śpi przyroda:
Oto dziewica wybiega młoda,
A śnieżna szata całą ją słoni.

I sunie nóżki lekko i zwinnie,
Tak się po ziemi jak duch przesunie,
Tak jak sieroty tchnienie po trunie;
I w ogrodowych zaroślach zginie.

A potem słycać ciche rozmowy,
I płacz dziewicy, prośby młodzieńca,
I szmer całusów, szelest dąbrowy,
I dzikie jęki wichru szaleńca.
Potem znów cisza... słycałbyś tchnienie
Jak z ust kochanków po rosie płynie,
Jak dalej — dalej leci, i zginie.
Znów się rozlega muzyki brzmienie.

Jakiż to anioł po nocy chodzi.
Co to za śpiewak pieśń taką budzi?
To kochankowie schodzą się młodzi
Lecz czemuż oni stronią od ludzi,
Czemu się w nocce widuję same,
Kryjąc w ciemności, lub w gęstwę polną,
Czyż miłość jaką przynosi plamę,
Albo czy kochać im się nie wolno?

O! i któż sercu: nie kochaj! rzecze,
I war kipiącej krwi w piersi wstrzyma,
Kiedy płomieniem po żyłach ciecze,
I kiedy ogniem tryska oczyma.
Kto kochających choćby już stali.
Po nad przepaścią, rozdzielić umi.
Kto, jeśli przesył uczuć nie stłumi,
Położy tamę — by nie kochali?

Miłość serc młodych, gdy złączy dwoje,

Niech ich sam anioł na straży trzyma,
Oni potrafią zejść się oczyma,
I wyznać sobie uczucia swoje;
Oni potrafią przełamać kratę.
Tak i tym było. Po dniach frasunku,
Nadeszły chwile w roskosz bogate:
Dusze się znowu zwały w całunku,
Bo chociaż zimą siebie widzieli,
Choć się w spojrzeniu dusze ich zbiegły
To były oczy, które ich strzegły,
I ludzie, którzy na nich patrzeli.
O ! nieraz pośród zimowej pory,
Dymitr pod oknem Wisławy czekał,
I klął dni smutne, smutne wieczory,
Błuźnił niebiosom, na świat narzekał,
Ona pod pilną rodzica strażą
Nie mogła wybiedz na schadzkę miłą,
I tylko z okna błysła mu twarzą,
Tylko z za kraty serce jej biło.

Wtenczas to Dymitr piął się do kraty,
By chociaż słówko wziąć od kochanki,
Z okna jej białe lśniły się szaty,
W oknie błysnęła postać niebianki.

A z drugiej strony po nad przepaście
Czarna się jego czepiała postać;
Jak bluszcz, co pnie się po starej baszcie,
Żeby się wieńcem na skroń jej dostać.

Tak im płynęły chwile... Mówicie,
Że czas wam nudno, leniwo ciecze,
Uczucie zimnym cyrklem mierzycie.
Ale używaj, kochaj człowiecze,
A dniem ci spłyną te długie chwile;
Zanim do czary przyłożysz usta,

Już po roskoszy... już ona pusta,
A ty się zbudzisz z snu przy mogile

Dymitr namiętny, Wisława młoda,
Oboje pierwszy raz pokochali,
Taka namiętność gdy pierś rozpali,
To jak wzburzona na rzece woda,
Toczy się, tamy wszystkie rozrywa,
Ani jej wstrzyma cnota, powinność !
Dymitr szczęśliwy, ona szczęśliwa,
Ale niestety! gdzież serc niewinność?

Ta myśl raz pierwszy duszę uderza.
Jeszcze nauki matki pamięta;

Ona bez grzechu dotąd jak święta,
Nad przepaść zguby tak szybko zmierza.
Czyliż nie wstrzymanie jej? Niestety!
Ileż to razy cofnąć się chcemy,
Ale im bliżsi straszliwej mety,
Zamknawszy oczy, śmielej idziemy.
Lecz jakąż plamę miłość ta dla niej,

I dla obojga przyniesie skutki?
Głowę rozboli, serca porani,
A moje zniknie za moment krótki.
Miłość się tylko szczęśliwa studzi.
Nieraz ci, co się zdala kochali,
Kiedy się zbliska okiem spotkali
Poszli koleją zwyczajnych ludzi.
Nieraz miłośne młodości szwały,
Mażeńskich przysiąg słowa rozchwiały.

A ci, co tylko, jak właśnie oni,
Duszą — nie brudnem kochają ciałem,
Czystymi po tej przebiega błoni,

I zejda z sercem do grobu stałem.
Takiej miłości nic nie przymroczy,
Zawsze niebieską jaśniej krasą;

Gdy się nie usta zetkną, lecz oczy.
Niestety! miłość i ta do czasu.
Bo kiedy zbiegną lata młodości,
Już młodszych wrażeń nic nie przebudzi
Wtedy szukamy przykładem ludzi,
Samej roskoszy, a nie miłości.

Lecz ich tkliwemi wiosna zastała,
A z wiosną zejścia były łatwiejsze,
Bliższe spotkanie... słońce cieplejsze.
Namiętność codzien silniej wznosiła.
I widać było z twarzy Wisławy,
Jakieś przeczucia wewnętrznej tęsknicy,
Smutek na ustach, łezki w źrenicy,
A z każdą chwilą nowe obawy.
Dymitr też cierpiał, ale inaczej
Dzisiaj dnie jemu niosły męczarnie
Bo myślał, że jej wpierw nie zobaczy,
Aż kiedy ciemność ziemię ogarnie.
A choć i we dnie widział ją, — ona
Przy ojcu zimną postać przybiera.
Unika wzroku, w ziemię spojiera,
Wtenczas jej maską twarz powleczone
Niby bez czucia, obojętności.
I kiedy na nią podniósł wzrok hardy,

Szukając w oczach zwykłej miłości,
Spotkał mróz dumy i sztylet wzdardy.

Wtenczas on ręką uderzał w struny,
A pieśń wpierw dzielna — słabiała, bladła,
W miejsce bitw jak wpierw — stawiał widziadła,
W miejsce wesołych obrazów — truny.
A kiedy z śmiechem wszyscy witali
Pieśń tak chwaloną, — on bezrozumny,
Porzucał lutnię, tocząc wzrok dumny,
Ciskał przekleństwa, wychodził z sali.
Lecz gdy się wieczór zeszli pod gankiem,
Ona mu boleść nagradza długą,
Bo w obec Boga on jej kochankiem,
A w obec ludzi był tylko sługą!

Ale cóż, sercu nigdy nie zadość!
Im się już przykrzy ten przedział we dnie,
Dymitr smutnieje, Wisława blednie.
Gdzież się podziła ich dawna radość?
Dziś, kiedy w noc się zejda samotnie,
To ani rozmów tkliwych jak dawniej,
Tylko milczący, klną świat stokrotnie,
Że im się nie da pokochać jawniej.
On już nie dzwoni po strunach lutni,
Ona się gniewa, że jej nie nuci;
Przyjdą weseli, odchodzą smutni,
Sami nie wiedząc co ich tak smuci.

Wisława nie śmie spojrzeć mu w owy
Jemu i miło, i znowu nudno;
Czem inny pamięć słodko uroczy,
To im bez wstrętu przypomnieć trudno,

Raz stali z sobą, stali tak w parze,

Jak nad mogiłą dwa ścięte drzewka,
I splekli rączki, schylili twarze,
W ramiona chłopca upadła dziewczka..
Długo tak, długo stali w milczeniu
Długo ni słowa żadne nie rzekło
Po łez im kilka na lica ściekło,
I smutek w jednym prysnął westchnieniu.
Nad nimi niebo w gwiazdach połyska,
Miesiąc jak świadek stoi na straży,
Ale im o tem ani się marzy,
Ziemia i niebo przed nimi pryska...

Była to chwila szczęścia, rozkoszy...
W życiu się drugiej takiej nie znajdzie,
Najświętsze czary w chwilę czas płoszy,
I żywo w trumnę złudzenia kładzie.
Jest przecież jakiś potwór w serc głębi,
Co nawet w chwili szczęścia je toczy,
I pocałunki kochanków ziemi,.....
A złote duszy marzenia mroczy,

Co jak upiora ręką po duszy,
Głaszcze nam troska., budzi cierpienie,
Schwycone cacko w dłoni rozkruszy,
Ten potwór straszny zwie się — sumienie!

I to ostatnie spotkanie było,
Ledwie do czary przytknęli usta,
Już w niej ni kropli, — jak czczość, grób pusta!
Sumienie szczęścia myśl w nich zabiło;
Jakby grom strzelił — rozpletli dłonie
Głos wojewody zagrzmiął im w ucho,
Wisława zbladła, jęknęła głucho,
A Dymitr poczuł sztylet w swem łonie.

.
Czy was ucieszę — nie wiem czy wzruszę;
Twierdząc że Dymitr do życia wrócił,
Czy z biesem trzymał, czy dwie miał dusze,
Niedługo jakby z snu się ocucił,
Westchnął głęboko, otworzył oczy
I spojrział w koło, spojrział po sędzie,
I mniemał że się świat przed nim toczy,
Że mu się niebo na piersiach kładzie
Ciężko mu było, razem przyjemno,
I słodko jakoś, i znów niemiło.
A kiedy wspomniał wszystko co było,
Znów mu się w oczach zrobiło ciemno

Upadł na trawę, a chłodna rosa,
Spłukała zwoje czarnego włosa.
I tysiąc uczuć naraz nim wzrusza;
A z nich najpierwszem było — obawa,
Z tysiąca wrażeń pierwszem — katusza,
Z tysiąca myśli pierwszą — Wisława.

W piersiach mu zaschło, ogień go pali,
O! gdyby wody choć dwie kropelki!
Spojrzął ku niebu... dalej i dalej...
O jaki świat ten piękny, jak wielki...
Jemu za ciasno, jemu jak w trumnie,
Wszystkie krwią naraz żyły nabiegły,
Wszystkie się zdroje do piersi zbiegły,
I tak do rany kupią się tłumnie,
Jakby rozerwać chciały na ćwierci,
Piersi i serce; — znów chłodniej, chłodniej,
Śmiech wbiegł na usta, z przeczuciem śmierci
Było znów w duszy jaśniej, pogodniej..

O! jeśliś kiedy kochał prawdziwie,
Jak się raz tylko pokochać wolno,
Jeśliś darzony miłością wspólną,
Przepędził kilka chwilek szczęśliwie,

Których nie mogła troska zakłócić.
Gdyś marzył, jutro będzie tak samo!
A jutro szczęście każą ci rzucić,
I wszystkie twoje marzenia złamą:
Powiedz, co wtenczas w duszy się dzieje
Gdy z jednej strony twój anioł stawa,
A z drugiej świat ci kładzie swe prawa,
Z miłości szydząc w głos się rozśmieje?
Ach! tu niestety było inaczej,
Ledwie czerpnęli nektar zbyt drogi,
Dla jednej przyszłość hańby, rozpaczy,
Drugiemu grób się ściele pod nogi.

Długo tak Dymitr pił rosę nocną,
Zielsko na piersi zranione kładnie,
Ciemne oblicze coraz to bladnie;
Lecz westchnął lekko a potem mocno,
I z tem westchnieniem życie wróciło,
Wróciło czucie i ster myślenia,
Ale tam myśli szczęścia nie było;
Bo jakież szczęście bez niej, o Boże!
Ona za kratą, w murach więzienia.
A Dymitr ręką władać nie moie.

Są tajemnice w przyrodzie ciemne.
Których napróżno mędrzec docieka.
O! opiekuńcza straży człowieka,
Nigdy twe środki nie są daremne.

Błogi, kto w cuda przyrody wierzy;
Dymitr ich doznał tego wieczora,
Ciężko zraniony pod jawor bieży,
I czerpie wodę u stóp jawora;
Obmył nią ranę, krew wodą splukał,
Potom kwitnącej kaliny szukał;
Na serce świeżą gałązkę kładnie,
I zaraz dawne wracają siły,
I jakiś pokój przejął go miły,
A sercu było tak pięknie, ładnie
Jakby się wyrwał z objęcia matki.
Po śnie straszliwym słodkie zbudzenie!
Wczorajsza schadzka, nocne wypadki
Wyszły z pamięci, — znikło cierpienie.

Trzy noce zbiegło, — a nocy czwartej
Dymitr się zbliżył pod zamku mury;
Tam mu z komnaty kratą zapartej
Dziewicza szata błysnęła z góry,
Wisława w oknie, on u stóp więzy,
Na piersi swoją oparłszy głowę,
Przepaść dzielącą z nią wzrokiem mierzy,
I taką z lubą wiedzie rozmowę:

DYMITR.

Ty mi aniele miłość wspominasz,
Ty mi przyrzekasz chwile łaskawsze;

Ty kochasz! — Czemu mnie nie przeklinasz?
Jam winien, jam cię zgubił na zawsze !
Na moją, głowę niech padnie wzgarda;
Cóż, — choćbym błagał, — wszystko daremnie!

Oni są zimni, dusza ich twarda;
Po cóż swą miłość złożyłaś we mnie?
Ty mi chcesz jeszcze wmówić nadzieję, Że słońce nasze zaświeci
pięknie;
A ja z rozpaczyny łyżę gorzkie leję,
Ach, przestań, przestań, — serce mi pęknie!
Gdybym ja zginął — ja sam; lecz miła,
Ty musisz cierpieć za zbrodnie cudze!
Lecz — żem cię kochał, zbrodniaż to była?
A ja cię dzisiaj skargami trudzę,
Zamiast przełamać kraty więzieniu,
I unieść ciebie, — ja jeszcze marzę,
Że my Wisławo, pójdziemy w parze
Przez ten świat zimny trosk i cierpienia;
I że twój ojciec na to zezwoli,
Bym ja — bez herbu, wszedł w jego progi,
Bym posiadał ciebie!

WISŁAWA.
Dymitrze drogi,
Ty cierpisz?

DYMITR
Wzgarda serca nie boli,
Ale w tem cierpię, że ty...

WISŁAWA.
Mój luby.
Po co żal? — chociaż dzieli nas krata,
Ja zdołam wyjść ztąd;

DYMITR.
I gdzież? — do zguby!
Powiedz gdzie pójdziem? — na koniec świata i
Powiódł bym ciebie, drogi aniele!
Na rękach moich poniósł bym wszędzie;

Bo jakież dla mnie życie tu będzie,
Jeżeli z tobą byłbym w rozdzieleniu?
Ja inny dawniej byłem... o! wcale;
Pełen poświęceń dla ludzi, chwały,
Teraz zapomnę o przeszłej chwale,
Duch mój znikczemniał, pieśni skarłały.
I już nie umiem z strun mojej lutni,
Jednego nawet wydobyć dźwięku,
I same struny rwą mi się w rękę,
A pieśń mię zaraz znudzi, osmutni.

WISŁAWA.

Dymitrze! dla mnie poświęcasz tyle.
A ja mniemałam — do wieńca chwały
Gdy mirtu listek dorzucę mały,
Ze mój nikczemny dar przyjmiesz mile, —
A dziś...

DYMITR.

Dziś, luba! daruj, bluźniłem,
Bo czyż o ziemskiej chwale ten mam,
Kto się anioła kochać odważy?
O! chwili takiej jak ja przeżyłem
Nie chciałbym mieniać za szczęścia lata.
Bo czyliż warto za poklask świata,
Lub listek moje odarty z trumny —
Wyrzec się ciebie? — dar to zbyt mały,
A ja zbyt wielki, — może zbyt dumny,
Zdeptałbym nogą ten wieniec chwały,
O! jam to poznał; słuchaj, — opowiem,
Bo tu inaczej w mojej jest duszy:
Co się w mej piersi lało ołowiem,
To ich zbyt zimnych ani poruszy. —
Gdy chcieli pieśni — grać trzeba było;
I na tę nutę jak im się chciało.
Oni mię tylko łudzili chwałą,

Mnie się też o niej jak dziecku śniłoś; —

I potem; — potem jak gdyby z łaski
Jeżelim od nich łez dostał kilka,
To jeszcze była zbyt piękna chwilka,
Jakby jałmużnę dali poklaski. —
Wówczas cierpiałem srogie męczarnie,
I żal mi było żem wzrósł do pieśni;
Kwiat mego czucia przekląłem marnie,
Strwoziłem; — bogdaj zginął był wcześniej!
Im trzeba tylko pieśni przy winie,
Bo wtenczas ona może rozśmieszyć,
Albo jeżeli nudno czas płynie,
Bo wtedy zdoła umysł pocieszyć,
I nieraz w głos się śmieją słuchacze,;
Lecz serce milczy przy dźwięku pieśni;
Z nich się żadnemu o tem i nie śni,
O czem ja marzę, za czem ja płaczę.,.
I była cisza, — a biała postać
Coraz się, coraz na kratę chyli, —
Długo na siebie milcząc patrzyli,
On rzekł: "tak dłużej nie może zostać!
Znam twego ojca, znam ja i siebie, —
Ja nazbyt dumny, On znowu srogi,
Choć ukochałem nad wszystko Ciebie,
Ja się słać jemu nie chcę pod nogi.

Cóż — że nas przepaść, ie krata dzieli,
Jabym potrafił unieść cię ze mną,
Choćby u stóp mych ogień rozdzieli,
Choćby się piekło słało przedemną;
Ale jest sposób inny; mnie Nieba
W moim najświętszym wspomogą celu
I ja powrócę po dniach nie wielu, —

Bo wiesz — ty luba, czego im trzeba?
Słyszałem z twego ojca rozmowy,
Wiem za go sprzeda krwi swojej dziecie, —
Za skarby złota, za blask herbowy...
I to — i drugie znajdę na świecie.
A nikt nie powie, że ja szalony,
Jeśli się siłą dobiję Ciebie, —
Ręka, co dzwonić umiała w strony.
I miecz pochwyć' umie w potrzebie. —
Lecz czas się rozstać, — bliski poranek,
Jużem ułożył wszystko: — bądź zdrowa!
Z pola ci bitwy przyniosę wianek,
Lub pożegnania przyślę ci słowa.

Co się tam bieli, — czy to łabędz i
Wędrownie stado padło na trawie,
Czy białe gęsi, siwe żurawie? —
Nie, to Tatarów ćma taka pędzi!
Białe ich futra iak skrzydła ptasie,
I pół księżycem chorągwie świecą:
A gdzie się przemkną, kędy przelecą —
Tam sioła płoną, kwiat wędnie w krasie.
I gnają trzody, i dziewczki hoże,
I niszczą chaty, i palą sioła.
A lud z rozpaczą do niebios woła,
"Wybaw nas Boże, wybaw nas Boże?
Wiosna tak świeża, tak wonna była,
A gdzie ich noga stąpi — tam marnie

Kwiat wędnie, zboże przepada w ziarnie,
Jakby się ogniem ziemia paliła.

Po co nam w czoła pracować pocie,
Co Niebo dało, wróg zaraz skradnie,
Kłos nim dojrzeje — to zgnije w błocie,
A nasz dobytek marnie przepadnie."

Tak kmieć w rozpaczy gorzko narzeka,
Bo mu przed okiem Tatarzy stoją,
I każdy chatę porzuca swoją;
A kto potrafi w bory ucieka.
Serce się kraje spoglądać na to,
Jak ci twe własne stodoły spalą.
Ziarno rozsypią, chatę rozwalą,
Oj! gorzko płakać nad taką stratą. —
Lecz jeśli żonę młodziuchną miałeś,
Kilkoro pięknych — dorosłych dzieciak,
Jeżeli to cały był twój dostatek
Ty naraz bez nich jeden zostałeś;
I jeszcześ widział, jak dzieci gnali...
I żonę w oczach twoich zhańbili,
Ażeby potem w jassyr sprzedali. —
O! lepiej takiej, nie dożyć chwili,
Bo gdy nie padniesz w takiej katuszy,
Jakiż grom twojej dosięgnie duszy?

Kędy Tatarzy ogniem zaświecą,
Tam lecą wrony i kruki lecą.
Oj! będzie, będzie żeru nie mało
Tatar bogate zabiera łupy,
Dla niego zdobycz, dla ptastwa trupy
Ale dla kmiecia nic nie zostało. —
"Ałlah! Bismillah." Tatarzy wrzeszczą,
I pędzą dalej z sioła do sioła,
A gdzie się przemkną chmara, złowieszczą
Tam lud o pomstę do Nieba woła. —
Ależ czy długo rozboju będzie?
Zastęp rycerzy zbrojnych nadjechał,

Wściekły Tatarzyn łupieztw zaniechał,
I w step ucieka w szalonym pędzie
Lecąc tysiące strzał jeszcze ciska,
I pędzi dalej... za nim wron siada, —
Potem się w różne strony rozpryska,
I w wielkich wrzosach jak mgła przepada. —
Ale dowódzca naszych zastępów
Zna te Tatarskie zwykłe wybiegi, —
I tam rycerstwo wszędzie gdzie zbiegi,
Orły ścigają po stepie sępów.
I już są blisko! Tatar na błonie
Prysnął w pół xiężyc... ha! co to będzie?

Zwarli się z sobą, a w takim pędzie,
Że pył zasłonił ludzi i konie.
Ale gdzie tylko dopatrzą oczy,
Tam czarny rycerz w zbroicy kutej,
Jak szatan wściekły, jak tygrys luty —
Z Tatarskich piersi krwi zdroje toczy.
Nie dojrzysz twarzy, bo pod przyłbicą,
Tylko ocz dwoje straszliwie błyska,
Wróg się pod jego zwija szablicą,
Wszędzie zniszczenie — śmierć — postrach ciska.

Gdy Han Tatarski spostrzegł rycerza
Wnet jak szalony ku niemu pędzi,
Czarny mu dłuższej drogi oszczędzi,
Bo i on także ku niemu zmierza, —
Czarny silniejszy, ale pohaniec
Nie mogąc siłą — zdradą podchodzi:
I taki z sobą zawiedli taniec,
I tak to było dzielnie, tak hucznie,
Że ani wy to pojmiacie młodzi,
Ani ja umiem wyrazić sztucznie.
Miecz już Czarnemu prysnął na dwoje,

Nad uchem strzała po strzale świszczy,
Z piersi otwartej cieką krwi zdroje,
Tatar handziarem w oczy mu błyszczy.

Skoczyli z koni, zwarli się z bliska,
Aż się dotknęli wzajem piersiami,
Jeden drugiego w ramionach ściska,
Jeden drugiego dławi rękami.
Tatar na ziemię zwija się, toczy,
Jakieś wyrazy dziwne bełkoce,
Krwia mu już małe zabiegły oczy,
A duch się w zdrowem ciele szamoce.
Czarny kolano na pierś mu kładnie,
"Poddaj się, wraże!" Han nożem błysnął,
Chciał go Czarnemu w pierś wtłoczyć zdradnie,
I osłabiony upadł bez siły,
Bo Czarny rycerz tak go uściskał,
Że naraz wszystkie porwał w nim żyły.

Noc zatrzymała dalsze gonitwy,
I pogrom pogan. — Zwycięzkie pioski
Lecą po rosie, jak echo bitwy...
Dymią się chaty, miasta i wioski;
Tu, owdzie leżą na polach trupy, —
Rycerstwo brańców odbiwszy jedzie;
Tatarzyn oddał porwane łupy,
Stratą ogromną napad opłacił; —
A Czarny rycerz pędzi na przedzie,
On się lauru wieńcem zbogacił.

Krew już zastygła w ranach, — a chwała
Świetnego w dniu tym pięknym zwycięstwa,
Żywym rumieńcem twarz mu oblała,
W dniu tym herb zyskał w nagrodę męztwa.

Lecz kto był rycerz? — łatwo to zgadnąć —
Dymitr! — ów dworski śpiewak wsławiony;
Bo dłoń, co umie uderzyć w strony
Mieczem. w, potrzebie, potrafi władnie. —

.

Chceszli mieć skarby, złota dostatek"
To idź w noc kiedy paproć rozkwita;
A gdy cudowny dostaniesz kwiatek,
Wszystkie przed tobą skarby rozłóż:
Przyszłość dla innych kirem zakryta
Jasno się przed twym wzrokiem otwórz
Będiesz prorokom równy w potędze,
Jakbyś ją czytał w otwartej księdze,
W ziemi ukryte skarby posiędziesz,
Nad królów świata bogatszym będziesz. —
Ale nie łatwo kwiat ten pochwycić,
Paproć raz tylko kwitnie co rocznie,

Choćbyś odwagą mógł się poszczycić,
To nie tak snadno będzie go dostać,
Bo kiedy szatan kusić cię pocznie
To w świętem kole niezdołasz zostać;
A jeśli nogą wystąpisz z koła,
To w moc czarnego wpadniesz anioła,
Zginiesz na wieki, biada twej duszy,
Bo ją piekielny ogień wysuszy! —

W wilią świętego Jana do boru
Wybiega Dymitr, żeby kwiat dostać,
I niecierpliwy czeka wieczoru,
Bo jemu w oczach Wisławy postać:
Bo jemu w głowie myśl ta, że ona.

Jeżeli zdoła wziąć kwiat paproci,
Przyszłe miłością dni mu ozłoci,
Ze ją przyciśnie znowu do łona. —
Bo i cóż z tego, że mu herb dali,
Gdy go ubóstwo jeszcze z nią dzieli?
Żądza go pan, i miłość pali, —
Gdy wspomniał na nią — to mu weselej. —

Gdzie paproć rośla zakreślił koło
Szablą, co ksiądz ją poświęcił wczora,
Usiadł przy ogniu, czeka wieczora,
To mu raz smutno, to znów wesoło.

Tak go w dumaniu ciemność zastała,
Na dwie połowy myśl swą rozdzielił;
Aż o północy ziemia zadrzała,
I czarodziejski złotem kwiat strzelił.
A zaraz burza gromem zawyła,
Poblady gwiazdy; i las tańczy.
Zbladł Dymitr, strach go mrozem przejmuje
Jakaś mu ciemność oczy pokryła.
I znowu widno, — znów było jasno;
Co spojrzy w stronę — to piorun błyska,
Co spojrzy w niebo — to gwiazdy gasną:
On w ręku skaplerz święcony ściska;
Mówi modlitwy, żegna do koła, —
Ustała burza, — coraz to ciszej...
Przed nim znajomy jakiś głos woła,
Nęci ku sobie, znów straszy, klnie go,
Głos ten przed sobą, za sobą słyszy,
Cicho poszepnął: "zbaw nas od złego!"
A widmo znikło. — Ale wpół chwili,
W borze się głośnie wycie rozlega,
Pędzą niedźwiedzie, suną się wilki,
Straszną się chmarą leśna dzicz zbiega...
I bliżej koła, jakby go miały

Schwycić, rozerwać — dzicz się przybliża:

A gdy w powietrzu zrobił znak krzyża
Wszystko przepadło, wycia ustały.

Potem zobaczył tuż blisko koła,
Jakaś dziewicę młodą i cudną;
Ona go nęci, do siebie woła,
Ale też uwieść Dymitra trudno.
Ciemne jej włosy płyną na szyję
W śnieżystą szatę okryta cała,
To się nią słoni, to znów odkryje,
Aż z zasłon pierś jej błysnęła biała,
Wznosi się lekko, wznosi swobodnie,
W oczach jej miłość żądzą jaśnieje,
Zapłacze z cicha, znów się rozśmieje,
I mówi: "Chłopcze, to tak niegodnie !
"Pójdź tu najmilszy, po co tu czekasz,
Ja się chcę tobie poświęcić chętnie,
A ty rozkoszy chwilę odwlekasz,
Co się tak tobie śmieje ponętnie.
Czy nie masz serca, chłopcze mój luby?
Tylko pójdz bliżej do mnie, — pójdz ze mną!"
Dymitr znów krzyżem uniknął zguby,
A postać w mgłę się rozwiła ciemną. —

Biją znów gromy, — a po tem w ciszy
Cudownej pieśni echo zabrzmiało,

Dymitr jej słucha, a chociaż słyszy
Ślicznego śpiewu jeszcze mu mało...
To jakieś ptaszę siadło na drzewie,
Z złotemi pióry, tak cudnie śpiewa,
Ze aż się dusza lubuje w śpiewie...

I dalej — dalej... z drzewa na drzewa
Złata ptaszyna nucąc radośnie,
Aż sercu bez niej tęskno i nudno,
I tak mu bez niej było nieznośnie,
Że mu już w kole wysiedzieć trudno.

Ale przebrzmiała piosenka. — Dalej
Widzi znów jakieś drzewa i kwiaty,
Każdy Usteczek słońcem się pali,
A wszystkie w inne ubrane szaty,
Nie tak, jak te tu, co widzimy z wiosną;
Bo zamiast kory, w złocie się kryły,
I tak się zdało, że z srebra rosną,
A liście na nich z brylantów były. —
Krzewy prześliczne z pereł, koralów,
Ubrane w kwiaty dyamentowe,
I safirowe, i rubinowe,
I z ametystów, albo z opałów.
Po cóż mu innych bogactw, — gdy
Krok tylko jeden za koło stawi,

Będzie miał skarby, srebro i złoto?
Ale Dymitra i to nie bawi.
On nieruchomy jak posąg z ciosu,
Ani go widok cudowny wzruszy,
Swych tylko przeczuć posłuchał głosu,
Bo jemu milsze zbawienie duszy. —

Skarby się w ziemię z trzaskiem zapadły,
A szatan innych środków używa;
Lecz Dymitr chociaż drżący i zbladły,
Jakby przykuty w kolisku stoi;
Tak go nadzieja szczęścia zagrzewa,
Że się piekielnych siódła nie boi.
Całą noc przetrwał. — Co widział potem
Było straszliwsze. — Słońce na wschodzie

Szybszym niż zwykle wzbiło się lotem,
Niebo się w takiej lśniło pogodzie,
Jak gdyby Pan Bóg widząc zdaleka
Pogrom szatana, walkę człowieka,
W piękniejsze pałac swój ubrał szaty.
Z dniem Dymitr śmiało koło porzucił,
I hymn pobożny klęcząc zanucił,
Nadzieją szczęścia, kwiatem bogaty!
Daremnie szatan kwiat tajemniczy
Pragnął wytrącić z Dymitra dłoni,

Kwiat ten mu skarbów wszystkich użyczy,
A ciemną oczom przyszłość odsłoni.
On w jednej chwili wszystko przenika.
Dopatrzył w ziemi na spodzie złoto,
I spojrzął w przyszłość... myśl szczęścia znika..
Byłóż mu, było patrzeć w nią po to;
Ażeby boleść uczuć tak srogą?
Lecz co tam widział, — człowiek nie zgadnie;
Załamał ręce, kwiat zdeptał nogą
"Oh! krzyknął, niech z nią w piekle przepadnie!

Burza zawyła, wicher zaszumiał,
A szatan, który zawsze pilnuje,
Tego, co dziwny kwiat zdobyć umiał,
Schwycił kwiat, — wraz z nim kryjąc się w piekle
A Dymitr został, zaśmiał się wściekle;
Tysiąc mu planów w myśli się snuje,
Jeden po drugim w duszy rozkłada,
Wierny swój sztylet uściskał w dłoń,
Nie bluźni niebu, i łez nie roni,
Ale ponuro; "biada, rzekł, biada!"

U Wojewody hucznie, wesoło,
Krażą kielichy, wino się leje,
Szlachta za stołem usiadła w koło,
A młodzież w skocznych tanach szaleje.
Tysiąc świec plonie, a pary setne,
Z jednej do drugiej komnaty krążą, —
To się powiążą, to znów rozwiążą.
A wszędzie widać ubiory świetne;
U dziewic skromność, w młodych odwagę,
U starych czerstwość, cnotę powagę, —
Jakaś otwartość, jakaś szlachetność —
I śród wesela tęskliwą rzewność.

Lecz zkąd ta uczta u Wojewody?
Dziś piękną córę za mąż wydawa,
Jej to weselne wyprawia gody; —
Lecz gdzież się młoda kryje Wisława?
Ona zamknięta w swojej komnacie,
Zdeptała wianek ślubny nogami,
Zamiast w weselnej — w żałobnej szacie,
Zamiast radości, — zalana łzami,
A ojciec na nią z gniewem nalega,
Żeby z uśmiechem wyszła do gości;
A choć w rozpaczycórkę spostrzega —
Niegdyś najtkliwszej przedmiot miłości,
Dumnie jej rozkaz wydaje srogi,
Ażeby białe przywdziała szaty,
Drogie materye, i ubiór drogi;
I blade czoło ubrała w kwiaty. —
Daremne łzy jej, daremne prośby,
Pod klątwą ojciec spełnić to każe;
Czyż nie posłucha dziecię tej groźby,
Z miłością klątwa czyż chodzi w parze?
Upadła do nóg, łzami je moczy,

"Ojczy mój! panną pozostać wolę!
I spleła dłonie, podniosła oczy,
I tak mu swoje wyznaje bóle.

"Jeszcze mi czasu miesiąc daj ojczy,
Nie mogę cudzą wpierw zostać żoną,
Lepiej żelazo w pierś pchnij zabójczy,
Lepiej sztyletem przebij mi łono.
Tylko ten miesiąc... potem w twe ręce
Złożę swą przyszłość, ojczy mój drogi;
Choćbyś jak dziś los przeznaczył srogi,
Ja się na wszystko wtenczas poświęcę,
I będę żoną, i będę sługą
Tego, co sam go dasz mi za pana...
O! ja nie mogę wpierwej... niedługo..
Ojczy mój... Ojczy, przebacz mi!" — Zbladła,
I znów gorzkimi łzami oblana
Raz wtóry ojcu do nóg upadła.
Próżne błagania, — dziewicy słowa
Wnet się o duszę rozbiły twardą,
Jeszcze go silniej tknęła jej mowa,
Jeszcze ją z większą odepchnął wzgardą!

W ślubnej więc szacie, w kwiatach na czole,
Piękna Wisława na salę wchodzi.
Z rozpaczą w sercu, w Szczęśliwym kole
Pośród tańczącej stanęła młodzi;
A oblubieniec wciąż biega za nią,
Jak szatan duszy tak jej pilnuje?

Starca jej młode oczęta ranią,
Krew się po żyłach ogniem wiruje;
Choć lat sześćdziesiąt skończył już dawno,
Lecz za to bogacz, złota ma mnóstwo.

Lecz choć pan młody lśnił się od złota,
Ale że w winie skąpał się właśnie, —
Więc mu i tańczyć przyszła ochota...
Niechajże tańczy... niedługo zaśnie!

Teraz do stołu zasiedli goście,
Na dworze straszna ciemność i słota,
I wichur wyje, i burza miota —
A oni piją... U bram na moście
Któs w róg zadzwonił głośno trzy razy...
Wisława zbladła, drży mimowoli,
Jakoś jej nudno, serce ją boli;
W duszy posepne stają obrazy,
I myśl o szczęściu, o dniach miłości.
Dziś wszystko dla niej musi się skończyć,
Trzeba się wyrzec szczęścia, przyszłości,
Z Dymitrem jej się trzeba rozłączyć. —
Dziś dwa obrazy widzi Wisława,
Dwojaka przyszłość w oczach jej stawa:
Rozpacz, zgryzota, i z nią małżeństwo,
Albo też Dymitr, a z nim przekleństwo!

W myślach tych dla niej srogie katusze,
Jest trzeci środek... lecz stój przez Boga!
Dziewico, zgubisz na wieki duszę,
Jeśli cię skusi myśl ta złowroga.

W tem weszedł sługa, za nim na salę
Ubogi pątnik w nędznym odzieniu;
Skłonił się gościom dumnie, wspaniale,
I w progu u drzwi stanął w milczeniu,
Twarz mu spuszczone kaptur zakrywał,

Na rękę trzymał zwieszoną lutnię,
I na znak dany zanucił — smutnie,
A z strun znajome dźwięki dobywał.
Lecz pierwsze słowa cudnej piosenki
W duszy Wisławy gdy się odbiły —
Jasne łez zdroje oczy zrosiły;
Naraz się wrzawa zrobiła w sali,

I śpiewak lutnię wypuścił z ręki.
Znajomą piosnkę wszyscy poznali. —
A pątnik kaptur uchylił z głowy,
I stanął dumnie, — a z jego dłoni
Błysnął im w oczy sztylet stalowy. —
Wisława wstała, i łez nie roni,
Wspaniałym salę przechodzi krokiem,
I wzięła sztylet z ręki młodziana,
Wzrok jej się spotkał z Dymitra wzrokiem,
Dziewica przed nim zgięła kolana;
"O mój Dymitrze, Dymitrze luby,
Czemuś ty czemu, nie wrócił wczora?
Dziś już po wszystkim, dziś już nie pora,
Ojciec to sam mnie popchnął do zguby.
Próżno błagałam, pod klątwą srogą
Kazał mi przystać na to zamęcie, —
O! z tobą tylko jednym me szczęście,
Wiesz że nie kocham więcej nikogo. —
Ach! raczej umrzeć!... po cóż mi życie,
Chciałam je tylko znosić dla ciebie;
Zginę!... lecz dziecię moje... ach, dziecko!..
Ach! ono będzie aniołkiem w niebie!,
Luby! tyś ojcem memu dziecięciu! —
Mamże wieść życie w starca objęciu?

Zabij mię! — dziecko niech umrze ze mną!

Słuchaj Dymitrze, nie wiem co mówię
Ale mi w oczach tak strasznie ciemno,
Dziwne się myśli płaczą po głowie...
Gdybyś ty także!.. O! jakże można —
Mówie ci o tem? ja taka płocha,
I mimowoli myśl ta bezbożna
Przenikła duszę. — Mnie nikt nie kocha,
Prócz ciebie tylko Dymitrze miły, —
Umrzycjmy razem!.. O! jak to pięknie,
Kiedy u wspólnej naszej mogiły
Jaki przechodząc pielgrzym uklęknie
I pieśń zanóci na naszym grobie,

A mnie przypomni, mówiąc o tobie!
O! nie, rzekł Dymitr, oddaj to cacko,
Nic tobie — dziecku, z bronią się bawić!
Czyż po to wszedłbym tu święto-kradzko,
Ażeby gościom ucztę zakrwawić. —
Oddaj Wisławo sztylet; — nie tobie
Przystoi takiej przymierzać broni!
Ty — w ślubnej szacie, mówisz o grobie,
A i któż po nas choć łzę uroni?
Ty nic wiesz luba, co za męczarnie,
Kiedy się marzy o losie świętym —

Schodzić do grobu — wdowcem — bezdzietnym
Gdy zamiast chwały — nicość ogarnie!
O! ja marzyłem... i chciałem siłą
Dobić się szczęścia, — i cóż? — w niedoli
Przewiodłem lata; szczęścia nie było,
To choć pokoju niebo pozwoli. —
I dziś — umieram, jeszcze lak młody!
Krwia się spoczynku może dokupię...
Inni wam dary niosą na gody,
Ja — biedny piewca, cóż wam poświęcę?
Oto tańczycie przy moim trupie,

Jak się tańczyło przy mej piosence!"

Jeszcze Wisława pełna boleści
Straszliwe słowa uchem chwytając;
On w pierś wbił sztylet do rękojeści,
A krew jej ślubną suknię oblała. —
Z śmiechem szaleństwa wybiegła z sali,
Za nią pan młody pełen miłości;
Przy stole reszta została gości,
I obojętnie wino spijali. —
Lecz bogaczowi los dziś nie sprzyjał,
Długo pod drzwiami Wisławy czekał,
I nadaremnie do nich dobijał,
Na jej nieczułość próżno narzekał.

A kiedy zrana sam Wojewoda
Siłą wyparłszy drzwi, wszedł w komnaty,
Ujrzał na ziemi ciśnięte szaty,
Wisława w łożu śpiąca leżała,
A na jej twarzy była pogoda,
Z otwartych oczu śmierć jej patrzyła.
I była blada — nie jak po ślubie
W pierwszej szczęśliwej nocy małżeństwa; —
A Wojewoda zamiast przekleństwa,
Po cichu tylko wyrzekł: "to lubię!"
Potem z komnaty jednej do drugiej
Biegał zabawny, — za nim drużyna,
I śmiał się głośno, i kłął na sługi,
Spełniając pełne kielichy wina. —
Bo jakże nie czuć słodkiej radości,
Gdy jedynaczce wyprawiał gody; —
I jakże nie czuć w sercu swobody,
Kiedy się w domu przyjmuje gości. —

Czy choć po śmierci mogiła, wspólną
Nakryją biednych kochanków ciało,
Czy chociaż w grobie kochać się wolno,
Gdy niebo w życiu kochać nie dało?
Ha! i po śmierci — ludzie, czy prawo,
Dziela Dymitra z lubą Wisławą. —
Ona w święconej ziemi spoczywa,
A gdzie jej raczki dwa buki rosna,
W jej głowie topól listki rozwiewa,
W nóżkach dwie brzozy wybiegły: z wiosną —
Mogiłę wonne pokryły kwiatki,
Zielona trawka, jałowiec prosty,

Fijołki, róże, lilie, bławatki,
Piołun, rumianek, głogi i osty. —

A Dymitr leży od wioski zdala,
Pod chłodnij ziemią, w samotnym gaju,
Wiatr mu mogiłę codzien przewala,
Kwiaty nad grobem nie rozkwitają;
Tylko zwieszona lutnia na drzewie
A w niej zaklęta śpiewaka dusza,
I wiatr jej strony lekko porusza,
Lecz o Dymitrze już zapomnieli,
I odkąd w chłodnej leży pościeli,
O jego losach prawie nikt nie wie.
Bo gdy się stróny w lutni porwały,
I losy piewcy — z pieśnią — przebrzmiały.

KONIEC.

